

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

LA POLOGNE EN LUTTE — HEBDOMADAIRE MILITAIRE — PRIX UN FRANC

Wychodzi co tydzień.

Dnia 24-go i 31-go marca 1940 r.

Rok II. — Nr. 7 i 8.

Nie ma śmierci w prawdzie

Tylko to jedno słowo: zmartwychwstanie, które stoi w kalendarzu na dzień dzisiejszy, które obwieszczono dziś we wszystkich kościołach ziemi — dorównuje w cenie słowu: ojczyzna. To jedno słowo w naszej mowie i żadne inne. I gdy mówimy jedno, znaczy drugie. Ojczyzna to jest właśnie to: droga od śmierci do życia, wejście pod światło, apokaliptyczny ruch powstawania z grobu. Zmartwychwstanie to jest kraj, ziemia, niebo, powietrze — wszystko jedyne, jedynie możliwe, wszystko bez czego nie podobna żyć, żyć nie jest warto.

Nie mówiliśmy o ojczyźnie, gdy była. Trochę, że wstyd, trochę, że niedogoda. I słowo: z martwych powstanie wydawało się kościelne, zbyt uroczyste, nieco zwyczajne, nie przystające do trzeźwości naszych czasów. Dziś mówimy je znowu. I wyrażamy jednym i drugim cały sens życia każdego z nas i nas wszystkich. Jest w nich cała prawda, jedyna prawda, dla której warto żyć i warto umrzeć.

Świętej wieści o Zmartwychwstaniu nie obwieszczono tylko w kościołach Polski, bo są zamknięte. Za słowo: ojczyzna wymierza się tam śmierć bez sądu i ostatniej pociechy. Ci, którzy znieważyli domy Pańskie i zamknęli je na głucho, ci, którzy wymierzają śmierć za słowo tak nieuniknione, jak oddech — myśla, że zabili prawdę, że ją nakryli grobem na wieki wieczne.

A ona, prawda, otwiera grób, powstaje z martwych i nazywa siebie imieniem ojczyzny. Kallekie, bezrękie drzewa w parku Skaryszewskim puszczają nowe witki. Woda odwilży zabliznia rany lejów. Bolesnych ruin czepiają się wiotkie pióra trawy. Sasanki wygrzebuja się z krwawej gleby i są białe. Ptaki obłąkane z lęku odnajdują w ściśniętych gardłach melodię istnienia. Ostrzelane z karabinów, osmalone wierzby wpodłuż dróg polskich obsypują się baziami.

Pada na najeżdżęc straszliwa katastrofa, której nie przewidywał: Polska jest polska, Polska jest żywa.

Nieobjęte są granice tej kłę-

ski wroga. Oto zabijał daremnie Moc rozdartych mięśni krąży w słojach drzewnych, krew wysączona z ran odmieniła się w białosc sasanek, w jasną zieleń piór trawy. Wszyscy umarli są żywi. Wszyscy umarli dołączyli do życia, dołączyli do trwania.

Kraj, w którym milczą złupione dzwonnice — dzwoni swoje Alleluja. Ziemia, jak święty Sebastian, tysiącem strzał przeszła — powstaje z martwych. I ludzie, którzy zapomnieli usmiechu, słuchają w niebie znów przychylnym muzyki życia, nie straszliwej muzyki zagłady, ludzie żałobni dotykają płatków białych sasanek. Myślą, czują

słowo kosztowne, za które płaci się cenę życia: ojczyzna.

Zmartwychwstanie. To nie jest tylko słowo zbyt uroczyste, rzadko używane. To nie jest tylko święta, kościelna pamiątka. To jest prawda istnienia. I dla nas, którzy patrzymy w nią z brzegu rozbicia, którzy rozpałmiejemy ją na obcej ziemi — powstaje z tej prawdy wielkie wezwanie, wielkie napomnienie. Napomnienie do trwania i wiary.

Ile jeszcze wiosen dzielić by nas nie miało od Wielkiej Niedzieli Polskiej, ile by jeszcze piekielnych jesieni nie trzeba było przejść, krwawiąc i kładąc się

pokotem — będziemy trwać. Będziemy trwać żywi. I umarli dołączyć będziemy do trwania.

Patrząc w tajemnicę tego święta, pojmujemy wzniosłe wezwanie do wiary w niezniszczalność prawdy. W niezniszczalność prawdy życia, narodu, ojczyzny. Można tę prawdę umęczyć, ukrzyżować, tysiącem strzał przeszyć, grobem przywalić i grobu strzec zbrojną strażą — a ona wstanie żywa. Można ziemię zryć tysiącem bomb, można ją zaścielić ciałami, jak liśćmi jesieni, a ziemia rozdarcia cierpliwie zablizni i ciała, jak liście jesienne, odmieniają się w sok żywy, krążący w drzewach, sok karmiący liście nowe, liście zielone.

Nauka tego święta odwraca porządek, który głoszą wrogowie. To nie my, ale oni są umarli, skazani na nicosc. Bo my wierzymy, walczymy, gotowi jesteśmy zginąć za prawdę, za prawdę życia, za prawdę nieuchronną jak oddech, nieuchronną, jak zielenienie się drzew. Bo oni usiłują podtrzymać pod słońcem kłamstwo, któremu zaprzecza każda biała sasanka, wygrzebująca się z krwawej gleby, każdy ptak, przypominający sobie melodię istnienia.

Zapatrzeni w tamtą stronę, w tamtą wiosnę w kraju, w tamtą białosc sasanek, wsłuchani w muzykę tamtego nieba — mówimy bez wstydu słowo: zmartwychwstanie, mówimy słowo: ojczyzna, które wolno nam mówić, za które wolno nam z dobrej woli, po żołniersku umrzeć.

Pochylamy się dziś w skupieniu w otwartych kościołach gościnnej ziemi wolnej, w których obwieszczono świętą wieść o Zmartwychwstaniu. Pochylamy się nad grobem pustym, z którego wstała światłość i objęła niebiosy. Pochylamy się nad grobem ojczyzny, aby wstała z naszej wiary, z naszej woli i z naszej walki, aby objęła niebiosy wolne i szczęśliwe. Łączymy się z umarłymi, którzy są żywi, z żywymi, którzy trwają. W tę Wielką Niedzielę modlimy się o Wielką Niedzielę Polską, wierzymy w Wielką Niedzielę Polską.

Bo nie ma śmierci w prawdzie.

Tymon Terlecki

Drody Bracia, Żołnierze!

Armia nasza jest zwycięstwem niepodzielnej polski walczącej o prawdę, sprawiedliwość i wolność.

Rozm. ni. do wrym i wykrekuje rozkazów.

W rłaichkiej miocierplinoii Wawij Wtazostanis

Wem od serca i zjers Ojczyznie naszej nadosny

"Alleluja", rychtęgo wkręcenia.

Chrystus zmartwychwstał jest

Nam na przykład dan jest.

*+ Józef Gurbina,
Biskup pol. W.P.*

WIELKANOC

*Droga, wierzba sadzona wśród zielonej łąki,
Na której pierwsze jaskry żółcieją i mlecze,
Pośród wierzby, po kamieniach, wązka struga ciecze
A pod niebem wysoko śpiewają skowronki.*

*Śród tej łąki wilgotnej od porannej rosy
Drogą, którą co święto szli ludzie ze śpiewką
Idzie sobie Pan Jezus wpołnagi i bosy
Z wielkanocną, w przebitej dłoni chorągiewką.*

*Naprzeciw idzie chłopka. Ma kosy złociste,
Łowicka jej spódniczka i piękna zapaska,
Poznała Zbawiciela z świętego obrazka
Upadła na kolana i krzyknęła: „Chryste!”*

*Bije głową o ziemię z serdeczną rozpaczą
A Chrystus się pochylił nad klęczącym ciałem
I rzecze: „Powiedz ludziom, niech więcej nie płaczą
Dwa dni leżałem w grobie i dziś zmartwychwstałem”.*



Znowu musimy mówić o zmartwychwstaniu Polski. Dla tych, którzy poprzedniej wojny nie pamiętają, „zmartwychwstanie Ojczyzny”, to był temat akademicki. O tym się nie mówiło; to się wykladało, rozpamiętywało. Z końcem września ubiegłego roku młodzi Polacy, utraciwszy swoje narodowe szczęście, dopiero je poznali. Dopiero, kiedy z rumuńskiego brzegu rzeczki granicznej, czy ze słowackiej strony Tatr, spojrzal niejedną w stronę domu, zrozumiał co znaczy niepodległość i jaki związek historia ma z kolorem nieba i ze skurczem serca.

Ci, co noszą w pamięci poprzedni niewolny czas, czują się tak, jak gdyby wracali do ciężkiej choroby, z której rzekomo na zawsze ich wyleczono.

Dwadzieścia lat, to dużo w jednym pokoleniu. Dosyć aż nadto, by niektóre słowa przekreślić, by odłożyć się wielu póź i afektów. „Wzniośła ofiara” (sublime martyre) „przemoc dzikiego najeźdźcy” — takimi słowami gadały kiedyś majaki. Znienawidziliśmy ich napuszonej mowy. Po powrocie do zdrowia pokochaliśmy słowa pospolite, takie jak „posterunkowy”, „gość”, „facetka”, „D.O.K.” i „P.K.O.” Stałiśmy się normalni.

Zapomnieliśmy, że przez sto lat z okładem szumiały nam u rękawów skrzydła, a wkolo lakierków płatały się łańcuchy. Że na teatrze świata role tuzinkowców były nam wzbronione: jedli, bili się i kochali inni — nas trzymano na scenie, a byśmy tykali trucizny, zstępowali pod ziemię, latali ptakiem, pęzali po węzowemu.

Wspomnijmy lata: 1794, 1831, 1863... Czyż nie dlatego nasze matrony chodziły wtedy w wiecznej żałobie, publicznie lejąc łzy, czyż nie dlatego Polaka ogień czyścowy za życia trawił, nie dlatego kibitki.

Zmartwychwstanie

katoggi, orły białe, krwawiące między sępami poniewierały się po rekwizytorniach europejskiego dziwostwa, że byliśmy naprawdę od innych inni, naprawdę egzotyczni, naprawdę gorsi, albo lepsi i niezrozumiali.

Wspomnijmy ówczesny świat. Przecież nawet narody i rządy najgoręcej nam sprzyjające, nie poczuwały się do solidarności z naszą krzywdą. Temat „słoń a sprawa polska” realniejsze posiadał brzmienie, niż n.p. „Anglia a sprawa Polska”.

Romantycy z za granic współczuli, utopiści wyznaczali nam miejsce na mapie księżycowej, intryganci podrzucali nasz kraj, jak fałszywą kartę, na stoły dyplomatów. Nikt jednak nie czuł się bratem Polaka, spadkobiercą tej samej fortuny, współnikiem rodzinnego losu.

Dzisiaj inaczej. Na nas pierwszych spłynęła lawa wielkiego kataklizmu. My sprostać musieliśmy pierwszym ciosom burzy. My — zwaleni przez dwustronną przemoc — chłoniemy najzarliwszą nienawiść wroga. Ale pół świata stoi obok nas w oczekiwaniu na ten sam kataklizm. Na piekło tej samej nienawiści. Klęska Polski przestała być sensacją obojętnych stolic. W roku 1940 Polska jest pierwszym kamieniem obrotnym, który padł na szaniec między nieprzyjacielem ludzkości — a ludzkością.

Nie wygląda na przypadek, że pan Ribentropp zemdlął po rozmowie z papieżem. Może w obliczu

Człowieka, któremu Chrystus zlecił rozwiązywanie i związywanie spraw ziemskich, wysłannik Nieprzyjaciela pojął nagle, co znaczy zmartwychwstać, co znaczy umrzeć na wieki? I przeraził się dnia sądu, w którym pomordowani wstaną dać świadectwo prawdzie?

W wieku XIX-ym nie my byliśmy dziwaczni i niezrozumiali. Niezrozumiała była ufność potentatów, że jeden naród, czy jedno społeczeństwo może rozegrać za wszystkie narody, wszystkie społeczeństwa symboliczną walkę słuszności z bezprawiem. Niepojęte było złudzenie, że pochod zła zatrzyma się na granicy państw potężnych. Że głód tyranii jedną ofiarą zaspokojony zostanie.

Jakkolwiek tragicznie wypadł epilog polskich walk o niepodległość w wieku XIX-ym, potężni nie przestali traktować go, jak sceny w teatrze — zjawiska, które w ich poważną bogatą rzeczywistość przesiąknąć nigdy nie zdoła. Przesada gestu, przerost słowa narzuciła wtedy polskim cierpiętnikom Europa krótkowzroczna i zarozumiała.

Dziś koniec, koniec spektaklu! Dziś nie ma w świecie sceny i widowni. Żałoba naprawdę oznacza śmierć, czerwień dla wszystkich jest kolorem krwi, zmartwychwstanie wszystkim zarówno — małym i ogromnym — przywodzi na myśl dzień sądu.

Pozwólcie, że powtórzę opowiada-

WSZYSTKIM CZYTELNIKOM W WOJSKU I NA WYCHODZ-
STWIE, WSZYSTKIM WSPÓLPRACOWNIKOM W OBOZACH I POZA
NIMI, WSZYSTKIM WIERNYM PRZYJACIOŁOM — REDAKCJA „POL-
SKI WALCZĄCEJ” PRZESYŁA NAJLEPSZE, NAJSERDECZNIEJSZE
ZYCZENIA ŚWIĄTECZNE.

nie, zasłyszane od znajomego, który niedawno opuścił Warszawę.

Pewna staruszka, mieszkająca tam w śródmieściu, ma córkę na Żoliborzu. Tak się złożyły warunki, że codziennie, wśród najgorszych mrozów, musiała godzinami wystawać na placu Piłsudskiego w ognie do biura przepustek, by pomóc tej córce w troskach gospodarskich. Któregoś dnia, dopchawszy się do Niemca, urzędującego w języku polskim, rzekła mu: „Panie jestem chora, siedemdziesięcioletnia, nogi już odmroziłam w waszych ogonach, dajże mi Pan przepustkę stałą”. Niemiec na to: „Nie mogę. Muszę na przepustce wystawić termin. Do którego chce ją pani mieć?” Staruszka bynajmniej nie popadła w namysły. Tak jak stała — zgarbiona, zwyczajna, wszelkiemu patosowi obca, do złośliwości nie skora — odpowiedziała Niemcowi: „Niechże będzie przepustka do tego dnia, kiedy nasi wrócą”.

Nie oznajmiła nic gromkiego, nie zrobiła wspaniałego gestu. Czyż jednak nie przemówiła o zmartwychwstaniu Ojczyzny? Czyż nie tę samą wyraziła wiarę co romantyczni wieszczowie? A jeżeli komukolwiek w Europie — po ludzkiej stronie szanca — wydały się śmieszne jej słowa, czyż swego śmiechu nie pomieszał ze łzami czułości?

Norwid w połowie zeszłego wieku napisał: „Europejczycy to mają wspólnego z Murzynami, że ze wszystkiego się śmieją, czego pojąć nie mogą”. O ileż więcej pojmują teraz, niż sto lat temu, kiedy jeden naród tylko rolę Baranka Bożego grał w teatrze świata!

Wielkanoc. Módlmy się na rezurekcji słowami warszawskiej staruszki: „Do tego dnia, kiedy nasi wrócą, daj nam przepustkę Panie...”

Maria Kuncewiczowa



K. Koczyńska

...Przy drodze między Limanową a Dobrym na kijaszkę wysokim, siedział sobie Chrystus frasobliwy...

Wyrezał Go nie wiadomo kto. Odkąd starzy ludzie pamiętają, to ów Jezusik słodki zawsze tam siedział pod daszkiem blaszanym.

Wyreżany był z drzewa lipowego, jednak mimo daszku, deszcz i śnieg zalewał figurę Jezuska. Przez lata poczerniała i mchem zielonym zarastać zaczęła.

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes



K. Koczyńska

Siedział sobie Chrystusik, podierał głowę ręką. Głowa bardzo ciężka od smutków ludzkich codziennych, nie były to jednak smutki i przewiny ciężkie... ot, takie zwyczajne — smuciły tylko słodkie oblicze Jezusa.

Ale kiedy przyszła wojna i co dzień patrzył na rzeczy smutniejsze, straszliwie smutne, nie wytrzymał i zeszedł z pod blaszanego daszka i poszedł przez Kraj najsmutniejszy na świecie, co się Polska nazywa.

KRYSTYNA KOCZYŃSKA.

WALKA IDEI

Hasłem, które rozbrzmiewa się najczęściej na łamach pism i rozkazów chwilowych okupantów w Polsce, jest słowo: „ausrotten”. Wysiedlić, wypędzić, wyniszczyć społeczeństwo polskie. Precz z ziemi, którą uprawiał wielkopolski chłop przez dziesięć wieków istnienia Polski. Precz z domów, które budowały przed setkami lat ręce polskie. Precz z miast, które praca polska wzniosła na miejscu małych, zaledwie kilka domów liczących wiosek. Na każdym kroku, w każdym objawie życia na ziemiach umęczonego narodu — jesteście świadkami brutalnej realizacji hasła, niegdyś Henryka Lwa i grafów niemieckich, później Krzyżaków, następnie Bismarcka, a dzisiaj Hitlera.

Jakżeż strasznie mylili się ci politycy, którzy wysuwali jeszcze nie dawno twierdzenie, że nacjonal-socjalizm wyraża jakąś nową myśl, jakąś nową filozofię społeczną, opartą na zasadach poszanowania odrębności narodowej zarówno własnego narodu, jak i innych społeczeństw! Jakżeż naiwnymi politykami okazali się ci wszyscy, którzy zagraniczną propagandę nazistowską brali za dobrą monetę! Te wszystkie opowiadania o „świętej walce z komunizmem”, o „wszystkie hasła krucjaty przeciwko „masonerii”, te wszystkie zasady „czystości rasy”, książki, broszury, przemowy, powódz artykułów — to wszystko stanowiło jedynie dymną zasłonę słów, której celem było wprowadzenie w błąd tylko, tak bardzo niestęsznie zwanych „polityków” i publicystów zagranicznych.

Albowiem tezy, które Hitler i jego ludzie przeznaczali na użytek własnego społeczeństwa — były zupełnie odmienne. Formował je Hitler w „Mein Kampf”, gdzie całkiem jasno stwierdzał, iż „potrzebuje ziem wschodnich” a Polaków na nich mieszkających usunąć. Z niemiecką dokładnością mówił i pisał o pochodzie na Wschód Rosenberg, a słowa jego powtarzali wszyscy najwybitniejsi dziennikarze nazistowscy. Kto miał uszy ku słyszeniu, a oczy ku patrzeniu, komu smród nazistowskiej propagandy nie odebrał zdolności logicznego myślenia — ten widział bardzo dokładnie, ku czemu zmierza nowy mistrz zakonu niemieckiego. I doprawdy trudno zrozumieć jakimi przesłankami kierowali się ludzie, którzy wbrew wszystkim faktom i przestrogom — chcieli widzieć w Hitlerze tylko „odrodziciela narodu niemieckiego”, tylko męża stanu, który urzeczywistniając wielką ideę narodową dąży jedynie i wyłącznie do zjednoczenia wszystkich Niemców, a nie chce i nie może wcielić do swego imperium ludów obcego pochodzenia. *Hitlerizm jest i był ruchem jak najbardziej zgodnym ze wszystkimi zasadami najbardziej bezwzględnej imperializmu niemieckiego.* Jest to nowy Zakon Krzyżacki, równie perfidny i równie potężny, zagrażający istnieniu nie tylko Polski, ale wszystkich wolnych ludów całej Europy. Jak usunąć ten cień, który legł nad światem i chrześcijaństwem?

Historia wskazuje ludziom te same obrazy i te same podobieństwa: ramy jej ulegają zmianie — lecz zostaje ustawicznie powtarzana się treść dziejów. Widmo straszego niebezpieczeństwa ze strony głównego wroga Polski, jakim zawsze byli i są do dzisiejszego dnia Niemcy — stawało już nieraz przed oczyma naszych przodków. Do całkowitej zagłady Polski przygotowali się już Niemcy na pięćset kilkadziesiąt lat przed Hitlerem. Oto jak charakteryzuje ówczesne czasy jeden z najsławniejszych historyków polskich, Szajnocha, we wstępie do swej pracy „Jadwiga i Jagiełło”:

„Mamy widok gwałtownej toni

teutonizmu nad Polską. I nie tylko nad Polską, ale nad wszystkimi przyległymi krajami piętrzy się morze teutońskie, dawne niebezpieczeństwo słowiańskich brzegów. Odkąd pamięci ludzkiej, grozi ono wszystkim ludom wschodniej Europy, ale nigdy jeszcze nie wzbila się nad nimi tak wysoka powódź niemieczy, jak teraz. Teraz, jak daleko przestrzeń słowiańska od Elby poza Wisłę i Dunaj, wszędzie morze teutońskie pokrywa bawianami swymi ziemie; zatapia osiadłe na niej ludy. W odległym Królewcu, siedziba niemiecka rycerzy miecza — w Malborgu pyszna stolica niemieckich rycerzy krzyżowych — w Morawach i czeskiej Pradze tron niemieckiej dynastii, zwierzchnich panów Śląska i Brandenburga — niemieckie grody na Spizu, niemiec-

kie rządy w miastach węgierskich, niemieckie saksostwo w Siedmiogrodzie. *Zawszą teutonizmem oblane Ojczyzna Piastów o nadkruszo-nych brzegach gdańskich i śląskich. Zawszą biją w nią naniesione potopem niemieckim wody. Do wywalczonych pół wiekową pracą nowych Niemiec, między Łabą a Odrą, przybyć mają drugie nowe Niemcy daleko za Dunajem, Wisłą i Niemnem”.*

Tak było w roku 1384, kiedy Jadwiga przybyła do Polski. Tak jest dzisiaj, w roku 1940, kiedy na skutek krótkowzrocznej polityki pozwolono rozrosnąć się potęgę niemieckiej do niesłychanych rozmiarów. Jednakowoż mądre, orle mózgi ówczesnych kierowników polskiej sprawy państwowej, zdołały odwrócić wówczas niebezpieczeństwo klęski. W jaki sposób? — „Cały środko-

wo-wschodni europejski wiano-brąg — mówi Szajnocha — zmienił się w jedną wielką linię bojową, na której w trzech różnych punktach uderza się równocześnie w teutonizm. Uderza czym może. W coraz to widoczniejszych zarysach dojrzała pomysł wielkiego, powszechnego oporu przeciw teutonizmowi...”

Pracownicy nasi przygotowawali się starannie do walki z siłą niemiecką. *Tworzyli ogromną koalicję, złożoną nie tylko z Polski, ale i Litwy, Rusi, Czech wciągając w nią, dzięki bardzo dobrze pomyślanym związkom dynastycznym nawet Węgry. Z nadzwyczajną starannością przygotowano armię polską, ówczesne rycerstwo, do starcia z największą ówczesną potęgą Europy. I Grunwald nie był bynajmniej dziełem przypadku, ale dobrze przeprowadzonego ataku wojsk króla Jagiełły. Przygotowała go przezorna, przewidująca, mądra polityka prawdziwych mężów stanu, polityka jagiellońska.*

Niestety, w roku 1939 zabrakło nam ludzi na miarę Zbigniewa Oleśnickiego i wodzów, jak Zawisza Czarny. Zapłaciliśmy za to bardzo a bardzo drogo. Lecz jedna przegrana kampania nie przesądza jeszcze o losach wojny. Zajęcie Warszawy przez Wielkiego Mistrza Nazistowskiego Zakonu — to jeszcze nie koniec. Do końca jeszcze daleko. Lecz właśnie dlatego musimy już dzisiaj zdać sobie sprawę z ogromu przykładu, jaki dał nam wiek XV-y, wiek jagielloński.

Reprezentuje on najlepiej polską linię państwową a zarazem i wielką ideę i wielkie posłannictwo dziejowe Rzeczypospolitej. Hasło „ausrotten” — musimy przeciwstawić wielką myśl polską z przed pięćdziesięciu lat: „wolni z wolnymi, równi z równymi”. Precz z całym, nie mającym nic wspólnego z kulturą i tradycją polską, czadem nazizmu i rasizmu! Hasłom niewoli i poniżenia człowieka, które przejawia się w totalizmie, brunatnym czy czerwonym — musimy przeciwstawić Wolność Polską. Była ona oibrzynią siłą przyciągającą dawną Rzeczypospolitej. Ta idea, te zasady wolności i demokracji, muszą stać się świetlanymi drogowskazami naszej przyszłości. *Idea jagiellońska, współpraca wszystkich wolnych ludów od morza Bałtyckiego aż po Morze Czarne i Adriatyckie — musi stać się podobną zasadą dla Europy Środkowej, jak słynna teza Monrogo wyznaczyła drogi rozwoju państw amerykańskich.* Najściślejsze współdziałanie z ludami, którym podobnie, jak nam zagraża imperia-lizm germański — musi być hasłem naszej polityki. Stopionemu trwią i żelazem, ponuremu blokowi niemieckiemu — musimy przeciwstawić wielką koalicję wolnych ludów Środkowej Europy, związanych najściślejszym przymierzem z zachodnią i łacińską kulturą Paryża i Londynu, a da Bóg i włoskiego Rzymu.

W świecie dzisiejszym rozgrywa się wielki dramat Lycufery, odwieczna tragedia duszy ludzkiej, uginającej się w walce z materią, która znalazła nowe słownictwo i nowe hasła. Komunizm i hitlerizm chce zniszczyć wszystkie wartości ludzkiego ducha. Zbrodnica ręka podpaliła świat. Przeszliśmy przez straszne cierpienia i Bóg jeden wie, jakie nas jeszcze czekają drogi. Lecz bądźmy spokojni i ufni. Nienawisz może spowodować nieszczęścia, które przerażają rozum ludzki i mrozą serca. Ale nienawisz nie może zwyciężyć. Nienawisz może burzyć — lecz nie tworzy. Tyłko to wszystko, co ma swe źródła w wolności, sprawiedliwości i miłości — jest i wielkie i twórcze i spokojne.

Życzenia od francuskiego przyjaciela

Wierny przyjaciel Polski, Polaków i naszego pisma, świętym pisarz, nieporównany znawca polszczyzny i tłumacz dzieł literatury polskiej na język wielkiej literatury francuskiej, doktor filozofii uniwersytetu we Lwowie — nadesłał nam życzenia, które drukujemy z wdzięcznością i odwzajemniamy ze wzruszeniem.

Redakcja

Kochani żołnierze polscy,
Przesyłam Wam życzenia Wielkonoce, jak Wam przesyłałem życzenia na Boże Narodzenie.

U Polaków, Włochów i wielu innych narodów, istnieje zwyczaj przesyłania sobie wzajemnie powinszowań, życzeń lub podarków z okazji tego wielkiego święta. Francuzi nie zachowali wprawdzie tych oby-czajów, ale obchodzą Wielkanoc z taką samą radością co inni. Gotują jajka na twardo, które są symbolem urodzajności wiosny, zmartwychwstania przyrody, powstającej z grobu zimy. Małe dzieci tańczą te jajka z pagórków, pokrytych świeżo zieleniącą się trawą. Przypominam sobie moje dzieciństwo. Jajka, które dostawałem, nie wyrównywały słowiańskim pisankom artystycznym. Malowało je się proszkiem czerwonym czy białym, albo też maczało się po prostu w so-

ku gruszy, dzikiego bzu albo cebuli.

Wspominam te jajka dziś, kiedy ludzie rzucają na pola bomby i granaty, dziś, kiedy zatruwają gazami żywe lono ziemi.

My mali chórzyści, chodziliśmy gromadą po ulicach, śpiewając stare piosenki ludowe:

Alleluia, les choux sont gras
Monsieur le Curé n'en mangera

[pas.
(Alleluja, Alleluja, kapusta jest
[tłusta,
Alleluja, ksiądz proboszcz nie
[weźmie jej w usta.)

Przedtym śpiewaliśmy w kościele piękną pieśń francuską, którą się śpiewa zarówno w kościołach katolickich jak i protestanckich:

Fête des fêtes que ton soleil
[est beau!
(O, święto świąt, jakże piękne
[jest słońce Twoje!)

Wielkanoc jest świętem słońca i jasności. Misterium radości i nadziei tego święta jest głębszym jeszcze od misterium Bożego Narodzenia. Narodziny są rzeczą mniej zdumiewającą, aniżeli zmartwychwstanie.

Jestem przekonany, jestem pewny, że Polska znowu powstanie do życia.

Paul Cazin

Na przesilenie wiosenne

Po niebie gna tumany chmur,
Szalony wicher marnocowy,
Rodzierna strój na szczytach gór,
Twój zimo strój lodowy.
W tych kłębach chmur, co
[błyskawicą
Czerwone, gromem biją:
Zawitaj nam Dziewico,
Zawitaj nam Maryjo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Twe państwo już się rodzi;
Że w grozie tej, jest pączek róż!
Lecz Matko, świeć tej łodzi —
Co z mórz się szalem grzmącym
[lamie;
O! gwiazdo mórz Ty święta!
Wierzącym daj Twe ramię,
Niech płynie lódz nieknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych
[drzew,
Na wpół wygląda z pąków!
I ponad nów zielony siew

Wzlatuje rój skowronków;
O! Maryo! Ty miłości zdroju,
Rolnika spełń nadzieje,
Niech Twoje nań w pokoju,
Błogosławieństwo wieje.

Dla wielu, wiesz — że wicher ten,
Jest innej wiosny zwiastun;
Że kości ich, na wieczny sen —
Grób, zimny weźmie piastun;
Pocieszycielko konających,
Maryjo! Matko święta:
Z dusz w Ciebie ufających;
Zdejm całe ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom łez,
Na mogił smutnym polu;
W Twą pieczę weź: mirt, lilie, bez,
Posadzon ręką bólu.
Siej Maryo, Matko Ty boleści!
Na groby zapomniane,
Lub skryte gdzieś bez wieści:
Podarki Twe wiosniane!

Pamiętnego dnia 1-go września 1939 roku, o godzinie 5,45 rano — spadły pierwsze bomby lotnicze niemieckie na ziemię polską. O tej samej godzinie niezliczone hordy wraże napadły nasz kraj na całej granicy, począwszy od Wisławy na północy, skończywszy na Jaworzynie w Tatrach. Lotnictwo niemieckie już w pierwszym dniu bombarduje szereg miast, miasteczek, wsi i osiedli. Tak jak w roku 1914 pierwszą ofiarą zewszierzenia niemieckiego padł Kalisz, tak w 1939 r. — Wieluń. Bombardowane są prawie wszystkie ważniejsze węzły kolejowe, mosty, szosy i ośrodki wojskowe. Transporty koncentracyjne, które od paru już dni dążyły na front, zostały z miejsca unieruchomione. Tu widzimy piechotę bez artylerii, tam znów artylerię bez piechoty, służbę bez broni i bronie bez służby. Rozpoczęta w dniu 30-go sierpnia mobilizacja powszechna w całym kraju utrudniona, w wielu miejscach uniemożliwiona.

To, co zdążyło przybyć na front i stało już od kilku dni na granicy — bije się dzielnie i tylko pod olbrzymią przewagą ognia i technicznej broni nieprzyjaciela cofa się krok za krokiem. Tam, gdzie spotyka się nasza piechota z piechotą niemiecką — o cofaniu się mowy nie ma, nasze przeciwnarciarza i przeciwwuderzenia prowadzą z niesłychaną brawurą zmiatają Niemców jak wichurę, przewracają sny na polu. Nie będą opisywać dziś, co się działo każdego dnia wojny. Pogoda sprzyjała Niemcom. Dzięki niej, rzucone w olbrzymiej ilości czołgi, przedostają się wszędzie, wymijają nasze linie obronne, znaczone nie betonem z cementu, lecz betonem miłości i oddania Ojczyźnie serc żołnierskich. W dalekich zagonach dezorganizują te masy potworów stalowych tyły nasze, utrudniają dowóz amunicji i żywności na front, ewakuację rannych, niszczą kraj, mordują ludność. Lawina bomb lotniczych dokonywa reszty. Pożoga wojny w ciągu kilku godzin objęła cały kraj, cały kraj krwawi się i pali.

Zostaliśmy napadnięci przez Niemców zniemacka. W języku wojskowym nazywamy to, że zostaliśmy „zaskoczeni”. Stało się to dlatego, że kierujący wówczas Polską ludźmi nie wierzyli w możliwość tak nagłego i niespodziewanego wybuchu wojny. Nie wierzyli, że Niemcy, mimo ostrzeżeń i przestróg rzucą się zdradziecko na nas. Wiecie dobrze, z własnego, codziennego życia, co to znaczy być zaskoczonym. Człowiek, na którego ktoś zniemacka napada, lub jakieś niespodziewane nieszczeście nań spada — nie ma czasu zastanowić się nawet, jak się bronić, jak odeprzeć nagle i niespodziewanie zjawiające się niebezpieczeństwo. Jeżeli zaskoczenie jest nieprzyjemne, a nawet bardzo niebezpieczne dla jednego człowieka, — o ile bardziej staje się niebezpieczne, jeżeli cały kraj, wszyscy obywatele od góry do dołu stają bezradni wobec ogromu nieszcześć i niebezpieczeństwa, które zjawilo się nagle.

Czy można było jednak dać się tak zaskoczyć? To pytanie oczywiście zada sobie każdy żołnierz, każdy Polak, ba, zadaje je nawet świat cały. Odpowiedź może być jedna, odpowiedź wypisana w naszym regulaminie wojskowym:

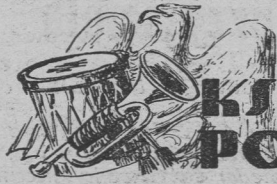
Dowódca może być pobity — zaskoczony nigdy.

Sąd o tej sprawie nie należy do nas, do żołnierzy. Osądzi winnych Polska — cały naród polski. Winni poniosą w swoim czasie najcięższą, ale aż nadto zasłużoną karę. Musimy wierzyć, że to się stanie, że sąd będzie sprawiedliwy, że nikt nie ujdzie z pod tego sądu.

Przejdźmy jednak do właściwego tematu. *Działania niemieckie w powietrzu i działania masy czołgów na ziemi — jakby odcięto od kraju Wojsko Polskie, walczące w najcięż-*

PRAWDA O MĘSTWIE POLSKIM

szych warunkach na froncie. Walczyło tylko to, co było przed wojną przetransportowane na front. Walczyło tym, co miało przy sobie, gdyż dowódz z kraju stał się od pierwszego dnia prawie niemożliwy. Odwody nie mogąc się zmobilizować i dojechać, nie mogły wesprzeć tych, którzy z bezprzykładną ofiarnością oddawali swe życie za kraj, w obronie Westerplatte, Pomorza, Częstochowy, i Krakowa. Trzeba, abyśmy wszyscy wiedzieli, abyśmy o tym stale pamiętali, że ofiarnością tych, którzy w tak ciężkich warunkach bili się na froncie była olbrzymia, bezprzykładna wprost w dziejach wojen. Obowiązkiem naszym jest, abyśmy nigdy nie zapomnieli o tych wszystkich bezimiennych bohaterach, którzy w ciężkie dni września hojnie rzucali na ołtarz Ojczyzny swą krew i swe młode życie w warunkach często beznadziejnej walki.



KSIĘGA BOHATERSTWA POLSKIEGO

Ulan Woroniewicz z K.D. 23 (pochodzący z 3 szwadronu 3 p. ul. śląskich).

Uratował życie jednemu z oficerów. Pod ogniem dwóch karabinów maszynowych zawrócił widząc, że sam nie może się wydostać z pod zabitego pod nim konia, wyciągnął go do pobliskiego wąwozu, a następnie schwytał konia biegnącego bez jeźdźcy. Wszystko to zrobił nie wiedząc nawet, jak się ów oficer nazywa i z jakiego jest oddziału.

Melduje oficer uratowany przez ulana Woroniewicza. L. 236.

Ś.p. kapral ś.czyn. Przywara Antoni, Dyon Pancerny Nr. 51 przydzielony do Krak. Bryg. Kaw.

W natarciu dnia 9 września 1939 w rejonie Rzęz wysiekł ogniem c.k. m. z samochodu pancernego całą kompanię nieprzyjacielską i zniszczył dwie obsługi działek przeciwpancernych nieprzyjaciela.

Sam trafiony pociskiem zginął. Pozostał obok młyna w Rzęz.

Melduje dowódca Dyonu; L. sprawy 733/39 Rej. Tjn.

Ś.p. sierż. Żelazowski, III Baon Warsz. Bryg. O.N.

Oddawał ofiarne usługi w dowożeniu amunicji do pierwszej linii, był dzielnie i nadzwyczaj odważnym żołnierzem.

W czasie takiej akcji został zabity.

Meldunek L. dz. 1068/39.

PPorucznik rez. inż. pilot Stanisław Riess. (W dyspozycji ś-cy lotnictwa).

Dn. 25 września 1939 r. podjął się ochotniczo lotu na samolocie bombowym z lotniska w jednym z krajów neutralnych do Warszawy celem przewiezienia i zrzucaenia na spadochronie w rejonie Warszawy oficera ze specjalnymi zadaniami oraz rozkazami dla dowódcy obrony War-

W „Polsce Walczącej” co tydzień czytacie w „Księdze Bohaterstwa Polskiego” o kolegach swoich, którzy najpiękniej, najofiarniej zasłużyli się Ojczyźnie. Czytajcie te wiersze nabożnie, zapamiętujcie sobie te nazwiska, gdyż one was uczą, jak żołnierz polski na prawdę się bił. O wszystkich pisać nie możemy — nie znamy wielu nazwisk tych bohaterów, którzy oddali swe życie w nieznanym dla nas okolicznościach. Liczba ich jest ogromna. Nie tylko zwykły strzelec oddawał swe życie w ofierze. Oddawali je wszyscy żołnierze, bez różnicy wieku, szarży i stanowiska. Przypomnę Wam tu tylko bohaterską śmierć generała Władysława, dowódcy 14 Dywizji Piechoty Wielkopolskiej, dywizji sławnej z wojny bolszewickiej, dywizji, której wszystkie sztandary pułkowe odznaczone zostały krzyżem „Virtuti Militari”. Generał Wład na czele garstki żołnierzy, bronił się do o-

szawy. Wystartował z lotniska pomimo strażników warty pilnującej polskich bombowców. W ciągu 5-godzinnego lotu nad obszarem działań wojennych wykazał niezwykłą odwagę, poświęcenie i brawurę. Po wylądowaniu na linii bojowej w Warszawie, z narażeniem życia kierował akcją ratunkową samolotu pod silnym ogniem nieprzyjaciela. W kilka godzin potem wystartował do nowego lotu na rozkaz dowódcy obrony Warszawy celem przewiezienia oficera z meldunkami. Lot ten odbył pomimo silnego ognia artylerii nieprzyjaciela.

Meldunek L. dz. 563/40.

Z walk 2 Brygady Strzelców Górskich.

Dnia 2-go września 1939 roku wychodzi natarcie nieprzyjaciela na prawe skrzydło brygady na kierunku Czorsztyn — Krościenko. Kierunku tego broni I. Komp. K.O.P. i 2 O.N. — ś-ca kpt. Wróblewski. Natarcie to rozwija się, zagrożając Nowemu Sączowi oraz tytuł i komunikacją 2 Brygady. Dla ratowania sytuacji zostają skierowane: II/1 psp na Limanową, dwa na wpół zorganizowane baony z ośrodka zapasowego Nowy Sącz — jeden również na Limanową, drugi na Łącko. — Nie powstrzymuje to jednak naporu nieprzyjaciela. Oddziały kpt. Wróblewskiego są otoczone na wzgórzu pod Kładnem, inne baony nie są w stanie powstrzymać wroga. Dowódcy robią co mogą.

Wyjątkowy charakter i dzielność wykazuje kpt. Wróblewski, który przeszło dobie wytrzymuje oblężenie i już uważany za straconego, przechodzi wplaw Dunajec, przebija się przez oddziały niemieckie i dołącza do swoich.

Melduje Szef Sztabu 2 Brygady Strzel. Górskich; L. 752/39.

WIELKANOC

Książka z wierszami na półce, A w książce wstążka i kwiat. Pamiętajsz z dzieciennych lat Hijacynt w białej bibulce?

U Karmelitów na grobach, Gdzie zbrojny Rzymianin stał, Myrrą pachniało i chłodem, W zieleni wśród sztucznych skal.

W dzień święty Zmartwychpowsta — Zaufaj młodzieńczym snom. Może powrócisz z wygnania, Rodzinny odnajdziesz dom.

Książka się znajdzie zniszczona, Ta sama — serce ją zna. Wspomnisz najmilsze imiona I spadnie na książkę łza.

Antoni Słonimski

statka w Puszczy Kampinoskiej pod Warszawą. Gdy mu Niemcy zaproponowali poddanie, odpowiedział:

„14 Dywizja zwycięża lub umiera”.

Na czele nielicznych, pozostałych przy nim żołnierzy, rzuca się na bagnety i ginie z tymi ostatnimi najlepszymi, jak na oficera, jak na żołnierza polskiego przystało.

Takich dowódców mieliśmy więcej, dużo więcej. Będę Wam o nich kolejno opowiadał. W wojnie tej poległo siedmiu generałów, ogromna liczba dowódców pułków, batalionów, kompanii, baterii, szwadronów, plutonów, i tysiące, tysiące strzelców, kanonierów i ułanów.

Śmierć ich nie poszła na marne. Nie dane im było dokonać więcej. W granicach swoich możliwości i swego obowiązku zrobili wszystko. Z poprzedniego mego opowiadania wiecie, iż „wrzesień nie poszedł na marne”.) Niemcy, dzięki olbrzymim stratom poniesionym w walkach z nami, nie mogli ani zataić, ani ukryć postawy i bohaterstwa naszego żołnierza. W swoich książkach o ostatniej wojnie przyznają się do tego otwarcie. Bo jakby mogli wytlumaczyć wobec swego, do reszty ogłupiałego społeczeństwa te tysiące mogił rozszarych po całej Polsce, te dalsze tysiące kalek, które dziś w ich kraju się znajdują.

Przytoczę Wam parę cytatów, z książki zatytułowanej „Kampania w Polsce”, wydanej przez Niemców, gdzie nie mogąc ukryć prawdy, tak piszą o postawie Polaków:

Str. 18. „Silniejsza jest obrona w twierdzach (mowa o Grudziądzu, Toruniu i Bydgoszcy). *Dzielnie broni się Polak, który tylko niechętnie ustępuje w terenie”.*

Str. 20. „Bitwa o Grudziądz była ciężka i zażarta”.

Str. 21. „Mimo najcięższej obrony udaje się pionierom (niemieckim) rzucić most pontonowy na Wiśle”.

Str. 22. „Pruska grupa operacyjna odiera w bardzo ciężkich walkach nieprzyjaciela pod Przasnyszem i Mławą”.

Str. 23. „Częstochowa stawia bardzo ciężki opór (oddziały nieregularne polskie)”.

Str. 25. „Mimo beznadziejności położenia stawiają polskie dywizje dzielnie czoło” (w okolicy Kutna).

Str. 28. „Zdecydowana i twarda obrona Przemyśla daje możliwość wycofania na Lwów trzech dywizyj”.

Str. 28-29. „Na szosie Jarosław — Oleszyce — Cieszanów, zostają odcięte od swoich tyłów zamotoryzowane oddziały niemieckie. W ciężkich walkach udaje się nieprzyjaciela odrzucić”.

Str. 30. „Między Bzurą i Wisłą ma się rozstrzygnąć los Polski. O tym wiedzą dobrze Polacy. Dlatego też pozostałe w okolicy Kutna dywizje walczą z niesłychaną zaciętością i żądliwością. Na linie niemieckie idzie natarcie za natarciem”.

Str. 32. „Faktem jest, że Polak walczył z nadludzkiem męstwem” (uwaga ta dotyczy całości walk pod Kutnem).

Str. 39. „Podczas, gdy Polak rozpaczliwie walczy o każdą piędź ziemi”... (walki o Pragę).

Nie chodzi nam o uznanie Niemców. Nie dbamy o ich opinie. Wiemy sami, że honor nasz, nasz honor żołnierski nie może być w okresie tej wrześniowej kampanii poddawany w wątpliwość — jak nie może być poddawana wątpliwości postawa i ofiara całego narodu.

Wojna nie skończyła się. Trwa nadal. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że przedziej, czy później zagrzmia nasze karabiny i działa w walce za Polskę, za Prawdę i Sprawiedliwość na świecie.

Janusz Sopoćko

*) Por. nr. 4-y „Polski Walczącej”.

Czasowa siedziba Rządu Rzeczypospolitej Polskiej

B.D.I.C



B. I. 5238)

Przy wyborze Angers, stolicy departamentu Maine et Loire, na czasową siedzibę polskich władz państwowych, niewątpliwie brano pod uwagę, obok względów na zapewnienie Rządowi Rzeczypospolitej dogodnego miejsca pobytu do chwili odzyskania Państwa Polskiego, także względy uczuciowe. Bowiernie to starożytnie miasto andegaweńskie, w dużym stopniu, zarówno duszą swych mieszkańców, jak głębokim umiłowaniem tradycji, bliskie jest duchowi polskiemu i zdolne odczuć i podzielić uczucia wielu z spośród zamieszkujących je obecnie Polaków.

Angers, z czasów rzymskich Juliomagus, istnieje od II-go w. Położone jest malowniczo na obu brzegach rzeki Maine, pomiędzy jej ujściem, a punktem, w którym Maine powstaje ze zlewu Mayenne, Sarthe i Loir. Dzięki temu położeniu i dobrej komunikacji wodnej Angers było od niepamiętnych czasów ośrodkiem handlowym i politycznym obszaru, który ok. VII-go wieku rozpoczął byt historyczny jako Andegawia (Anjou).

Na miejscu dzisiejszego Angers istniało zapewne już w czasach przedhistorycznych osiedle celtyckie, a później zaś gallo-rzymskie. Stolicą hrabstwa Anjou staje się Angers pod koniec IX-go wieku, choć już od w. VI-go wybija się na czoło miast prowincji andegaweńskiej rządzonej przez Biskupów z Angers i grafów, mianowanych przez królów Neustrii.

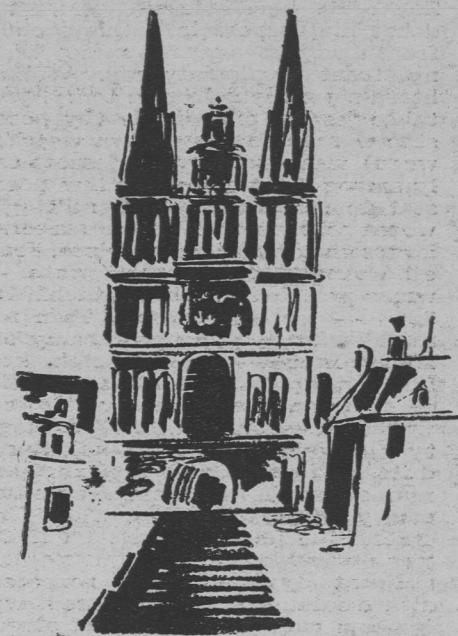
Okolo XIII-go wieku Angers przechodzi we władanie królów francuskich. Wtedy to Ludwik IX wznosi w nim istniejący do dziś wspaniały zamek i opasuje miasto murem. Od tej pory Anjou a z nim Angers stanowi posiadłość bocznej rodziny królewskiej będąc m. in. gniazdem rodu Walezjusów, których potomek Filip zostaje następnie królem i założycielem nowej dynastii francuskiej. Z andegawców pochodzi również Henryk, późniejszy król francuski a przez krótki okres i król polski.

Anjou i z nim Angers są w czasie Wielkiej Rewolucji francuskiej miejscem powstań ludności wiernej królowi i przywiązanej do kościoła katolickiego. Tu właśnie mają miejsce przez 8 lat zacięte walki Wandeji z I-szą Republiką. Dopiero w r. 1800 udaje się ostatecznie zawrzeć pokój w tej najdłuższej z francuskich wo-

jen domowych i wprowadzić w departamencie Maine et Loire prawa Wielkiej Rewolucji.

W Angers pozostało wiele zabytków przeszłości. Na czoło wybija się swoim ogromem zamek pochodzący z XII-go wieku a dokończony w XIII-ym przez Ludwika IX. Zamek jest ciekawy głównie przez masyw zewnętrzny malowniczo rozłożony nad brzegiem Maine, natomiast wnętrza zachowały się w kościele św. Maurycyego i w dawnym opactwie św. Aubina (dzisiaj prefektura), gdzie odkryto b. piękne i ciekawe freski i arkady. Obok kościoła św. Maurycyego na uwagę zasługuje kościół Trynitariuszy z XI-go wieku wzniesiony w ciekawej odmianie stylu romańskiego.

Okolice Angers posiadają również wiele malowniczych i ciekawych zabytków, m.in. wiele dolmenów (za-



Katedra (B. I. 5243)

bytków kamiennych) i kurhanów z czasów przedhistorycznych.

Dzisiejsze Angers jest miastem prowincjonalnym, ale posiadającym dużą kulturę nawiązującą do tradycji historycznych. Obok budowli pamiątkowych posiada ono wiele pięknych i obszernych gmachów nowoczesnych. W mieście jest fakultet medycyny, uniwersytet katolicki, oraz szkoła rzemiosł i sztuki. Bogata biblioteka miejska liczy około 100,000 tomów. Na szczególną uwagę zasługują muzea rzeźby, z bogatymi zbiorami dzieł Dawida z Angers, oraz muzeum wspaniałych tkanin średniowiecznych, z których liczne stanowią prawdziwe unikaty, czarujące przepięknymi barwami i nadzwyczaj ciekawą treścią.

Obecnie stare Angers przeżywa nowy okres swej historii. Jest siedzibą tymczasową Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i Rządu polskiego. Tętni życiem i pracą dla odrodzenia Polski, na której tron kiedyś wysłało jednego ze swoich książąt. Całym swoim pięknym i pełnym cnót sercem współczuje z Polską i stara się na każdym kroku okazać jej przedstawicielom swoje uczucia i swoją pomoc. To też na długo po odzyskaniu Ojczyzny zachowamy je we wdzięcznej pamięci i zawsze uważać będziemy poniekąd za miasto polskie.

Jerzy Pomian

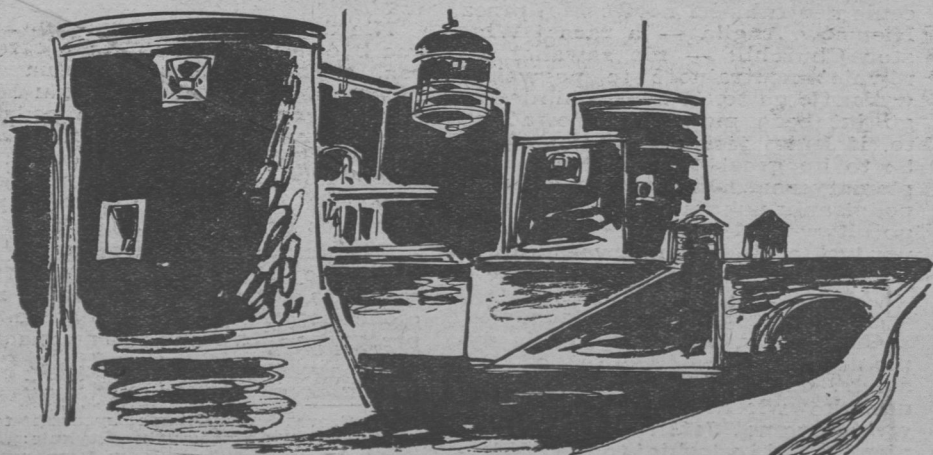
Rysunki Tadeusza Lipskiego



Siedziba Pana Prezydenta w Pignerolles (B. I. 5239)

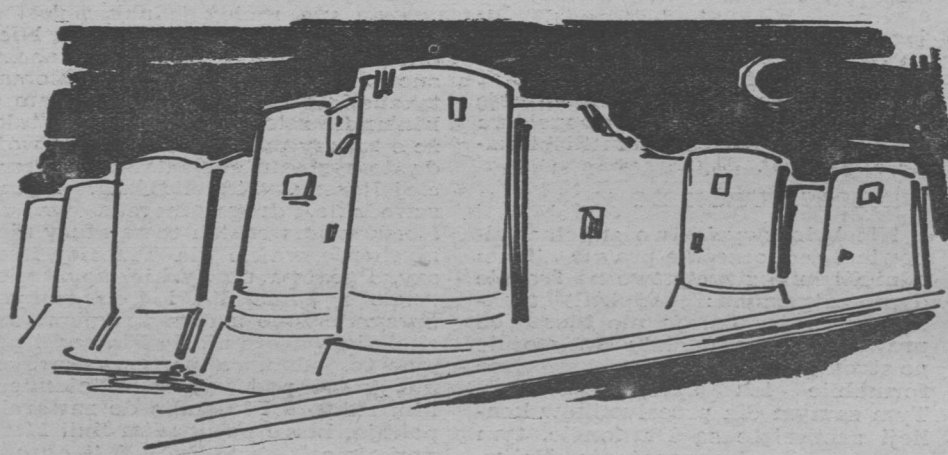


Rada Ministrów (B. I. 5240)



Zamek w dzień

(B. I. 5241)



Zamek w nocy

(B. I. 5242)

Sześć miesięcy wojny dyplomatycznej

W tej dziwnej wojnie, która na Zachodzie właściwie się jeszcze na dobre nie rozpoczęła, istnieje obok frontu wojskowego nie mniej ważny front dyplomatyczny. Walka, która się na tym froncie toczy, jest także jeszcze przeważnie (by pozostać w ramach słownictwa wojskowego) walką polityczną, jeszcze cały szereg decydujących bitew pozostał do rozegrania. Jeszcze ciągle wojna jest wojną Niemiec przeciwko trzem sojusznikom: Polsce, Francji i Anglii, reszta zaś świata — wręcz przeciwnie, jak w latach 1914-1918 — jest neutralna. Tym nie mniej jednak, jeżeli postaramy się zbilansować wyniki ostatnich sześciu miesięcy, to przekonamy się, że sytuacja powoli zaczyna dojrzać do wyjaśnienia, że w ciągu tych sześciu miesięcy jednak dosyć dużo na tym froncie dyplomatycznym się stało, i że zasadniczą bitwę mamy już za sobą.

SOJUSZ ROSYJSKO - NIEMIECKI

Front dyplomatyczny rozpoczął swą działalność jeszcze przed wybuchem wojny. I nie może ulegać wątpliwości, że pierwsze zwycięstwo odniósł Adolf Hitler. Walka szła o stanowisko Rosji Sowieckiej. Wiadomo, że mocarstwa zachodnie pertraktowały z Rosją przez miesiąc całe przed wybuchem wojny. Kto czytał francuską „Żółtą Księgę” ten wie, że ambasador francuski w Berlinie, Coulondre, jeden z najznakomitszych żyjących dyplomatów stale naglił o zakończenie układów z Rosją, był bowiem przekonany, że w razie układu anglo-franko-rosyjskiego Hitler nie odważy się rozpocząć wojny.

Historia tych pertraktacji w Moskwie okryta jest jeszcze tajemnicą. Rząd angielski nie zdecydował się dotąd na wydanie Białej Księgi, która obnażyłaby powody, dla których do układu nie doszło. Bieg wypadków wyraźnie jednak na to powody wskazuje. Tej ceny, którą Stalin otrzymał od Hitlera: połowy Polski i zwalozowania państw bałtyckich oczywiście Francja i Anglia zapłacić za sojusz rosyjski nie mogły. Jest zresztą zupełnie możliwe, że Stalin właśnie dlatego zawarł układ z Hitlerem, a nie z demokratami, że układ z Francją i Anglią uniemożliwił wojnę, a Stalin chciał wojny na Zachodzie.

Wartość tego zwycięstwa hitlerowskiego w wojnie polskiej okazała się bardzo poważna i istotna. Ciąg w plecy, zadany armii polskiej przez Sowietów niewątpliwie przyczynił się bardzo wydatnie do skrócenia czasu kampanii polskiej. Na długiej fali jednak zwycięstwo to nie jest ani rozstrzygające ani zupełne. Nie jest rozstrzygające, albowiem wojna fińska wykazała, że armia rosyjska daleka jest od tego, aby być pełnowartościowym sojusznikiem. Nie jest rozstrzygające, albowiem nawet jako źródło surowców Rosja w tym momencie decydującej roli nie odegra. Nie pozwala na to ani stan przemysłu rosyjskiego, ani stan kolei rosyjskich. Lat potrzeba by na to, aby móc Rosję tak zorganizować, by jej bogactwa naturalne wyrównały skutki blokady alianckiej.

WEJŚCIE TURCJI DO KOALICJI

Nie było zwycięstwo zupełne, albowiem jednocześnie prawie alianci odnieśli inne zwycięstwo na froncie dyplomatycznym: podpisał traktat z Turcją. Turcja nie bierze co prawda jeszcze udziału w wojnie po stronie aliantów, ale jest zupełnie formalnie ich sprzymierzeńcem. Tym samym dla przeciwników koalicji zamknięte są Dardanele, tym samym w razie zagrożenia Bałkanów przez Niemcy czy Rosję, armia

turecka wyruszy w pole. Tym samym wreszcie wisi nieustanna groźba na Baku i Batumem, wisi w powietrzu możliwość odcięcia Rosji od ropy, co nie tylko dla armii rosyjskiej, ale i dla rolnictwa rosyjskiego, opartego na traktorze stanowi dramatyczną groźbę i hamulec w zachciankach ekspansji.

To, że się mówi dzisiaj w prasie francuskiej i angielskiej o Baku i Batum stanowi zresztą dowód, że jedna z bitew dyplomatycznych ma się już ku końcowi.

Bitwa ta była bitwą, wydaną przez Rosję o możliwość rozszerzenia bez sprzeciwu swego stanu posiadania. W chwili, gdy Rosja wkraczała na ziemie polskie, dyplomaci rosyjscy po cichu mówili na Zachodzie: „Nie przeszkadzajcie nam w odbieraniu naszej „Alzacji i Lotaryngii”. Przymierze rosyjsko-niemieckie nie jest przymierzem rwałym. Nie mamy najmniejszego zamiaru pomóc Niemcom w walce z Zachodem. Pozostaniemy neutralni. Gdybyście zaś przeciw nam wystąpili to tym samym pchniecie nas w objęcia Hitlera”.

WOKÓŁ FINLANDII

To samo mówili dyplomaci rosyjscy w Genewie w chwili, gdy Liga dyskutowała nad Finlandią. Stalin liczył jeszcze w tej chwili na to, że uda mu się „zlokalizować” wojnę fińską, że uda mu się odosobnić Finlandię.

To się nie udało. Liga wykluczyła Rosję, postanowiła, by Finlandii udzielono pomocy. I pomoc ta zaczęła napływać. Wojska sprzymierzone miały się udać nawet do Finlandii. Otwarcie mówiono o froncie północnym sprzymierzonych. Stosunki dyplomatyczne między Rosją a Francją i Anglią nie zostały co prawda zerwane, nie było wojny franko-anglo-rosyjskiej, tak jak jest wojna polsko-rosyjska, ale stało się zupełnie jasne, że mocarstwa zachodnie nie chciały dopuścić do upadku Finlandii, że „neutralność” rosyjska w wojnie na Zachodzie już nie była atutem, którym można grać. Wszak Daladier wyraźnie oświadczył w parlamencie, że francuski Korpus ekspedycyjny był gotów.

To też Niemcy i Rosja zrzuciły maskę. Niemcy, które oficjalnie nic z wojną fińską nie miały wspólnego pośpieszyły otwarcie z pomocą sojusznikowi. Zagroziły Szwecji wojną, gdyby Szwecja przepuściła wojska sprzymierzone. Ten manewr odniósł sukces. Szwecja wystąpiła w roli pośrednika, zaczęła wywierać nacisk na Finlandię, by zawarła pokój z Rosją, grożąc nieprzepuszczeniem pomocy alianckiej i zaprzestaniem pomocy własnej. Prawda, że pokój zawarty, oznacza także, że Rosja rezygnuje z zupełnego podboju Finlandii. Prawda, że Stalin musiał poświęcić dla układów z Helsinkami Kuosinnena i jego operetkowy rząd.

Tym nie mniej jednak pokój z Finlandią, zawarty na rozkaz Niemiec pod egidą Szwecji oznacza znowu pewne zwycięstwo dyplomatyczne Hitlera. Nie tylko bowiem o Finlandię szło w tej grze. Szło także o to, czy państwa nordyckie wejdą do systemu gospodarczego Trzeciej Rzeszy. Nikiel fiński, żelazo szwedzkie, droga morską wzdłuż fiordów norweskich to są atuty niesłychanie ważne dla Trzeciej Rzeszy. Państwa nordyckie, sprzymierzone z Finlandią i tym samym sprzymierzone z demokratami zachodnimi, które niosły Finlandii pomoc to jedno, a państwa nordyckie, które pod naciskiem niemieckim zmusiły Finlandię do zawarcia pokoju, które po upadku linii Mannerheima — *wspólnej linii obrony wszystkich trzech państw skandynawskich* — będą bezpośrednio pod groźbą najazdu rosyjskiego to, mówiąc wulgarnie, zupełnie inna parakalosz.

Bitwa dyplomatyczna o Finlandię, a raczej o Szwecję i Norwegię była więc jedną z ważniejszych bitew w obecnej wojnie.

FLANKA LINII MAGINOTA

Bitwę dyplomatyczną o Holandię i Belgię Niemcy przegrali. Przegrali ją już w listopadzie rokueszłego. Hitler chciał wtedy dla obejścia linii Maginota napaść na Holandię, prawie że bezbronną. Cofnął swój już wydany rozkaz, bo Belgia oświadczyła, że pośpieszy Holandii z pomocą. Od tego czasu przygotowania wojenne Holandii i Belgii wzmogły się znacznie i jasne jest, że jeżeli Niemcy będą chciały choćby gospodarczo te państwa od siebie uzależnić to będą musiały walczyć o to orężnie.

PARCIE NA BAŁKANY

Bitwa dyplomatyczna o Bałkany natomiast do rozgrywki ostatecznej nie doszła. Na tym terenie toczy się wciąż walka polityczna. Hitler chce państwa bałkańskie uzależnić gospodarczo od Niemiec. Chce sobie na Bałkanach utworzyć bazę surowcową, przy czym najważniejszą rolę odgrywa oczywiście nafta rumuńska.

Nacisk niemiecki na Rumunię rośnie wciąż. Wprowadzona jest w grę i groźba rosyjska przeciw Bessarabii i groźba węgierska przeciw Siedmiogrodowi. Węgrowsko posługiwac się i groźbą bułgarską. Na tym odcinku jednak zdaje się sprzymierzeni odnieśli zwycięstwo dzięki energicznej interwencji tureckiego ministra spraw zagranicznych, pana Saradzoglu.

Idzie nacisk i na Jugosławię. Tam wprowadzono w grę między innymi te rewolucyjne i terrorystyczne czynniki chorwackie, które dawniej były na usługach Węgier, a dzisiaj zwękslowały na Trzecią Rzeszę.

Rumunia się broni. Pewne ustępstwa ekonomiczne Niemcom uczyniła, pewnych odmówiła. Broni kurczowo swej neutralności, równowagi między stronami wojującymi. Równowaga ta jednak jest chwiejna. Dotychczas jeden element odgrywał w Rumunii tak samo, jak w państwach skandynawskich rolę decydującą. Niemcy w razie nieuwzględnienia ich żądań grożą wojną. A przykład Polski uczy, co wojna kosztuje. Niemcy nie dbają o prawo międzynarodowe, nie dbają o pogwałcenie neutralności, gdy uważają, że taki jest ich interes. Demokratje sprzymierzone działają jedynie w granicach legalności międzynarodowej.

AFERA Z „ALTMARKIEM”

I tu jednak może nastąpić zmiana. Incydent z „Altmarkiem”, gdzie w odpowiedzi na bezczelne pogwałcenie neutralności norweskiej przez Niemców Anglia — a raczej Winston Churchill — nie zważał się również neutralność tę pogwałcić wskazuje na to, że neutralni niedługo już będą mogli spekulować na to, iż lepiej jest Niemcom ustąpić, bo to im grozi najwyższą notą dyplomatyczną. Dlatego też nawet po podpisaniu pokoju fińsko-rosyjskiego bitwy dyplomatyczne o państwa nordyckie nie można uważać za ukończoną.

WOKÓŁ WŁOCH

Czy należy, pisząc o froncie dyplomatycznym, mówić też o Włoszech? Czy należy uważać, że stanowisko włoskie jeszcze nie jest wyklarowane? Jeżeli wierzyć prasie niemieckiej i włoskiej to nie. Twierdzą one jednoznacznie, że „pakt sta-

lowy” nie drgnął, że jeżeli Włochy nie biorą udziału w wojnie po stronie niemieckiej, to na wyraźne życzenie Hitlera. Jest także faktem niewątpliwym, że dyplomacja włoska na wszystkich polach sekunduje dyplomacji hitlerowskiej.

Tym nie mniej jednak jest faktem, że i o Włochy toczy się walka polityczna. Najlepszym tego dowodem jest historia okrętów z węglem. Przypomnijmy ją pokrótce. Alianci ogłosili blokadę eksportu niemieckiego. Włochom jednak w drodze wyjątku pozwolono jeszcze przez czas pewien importować z Niemiec. Czas ten miał być zużyty na zawarcie układu handlowego angielsko-włoskiego, pozwalającego między innymi na zastąpienie węgla niemieckiego angielskim. Rokowania te były na ukończeniu, gdy rząd włoski je zerwał. Późem dał rozkaz okrętom włoskim załadowanym węglem niemieckim w Rotterdamie wyruszyć do Włoch, licząc widocznie na to, że Anglia nie zechce wywoływać konfliktu. Anglicy jednak okręty zatrzymali. Rozpoczęły się rozmowy. W rezultacie okręty z ładunkiem wypuszczono, Włochy zobowiązały się jednak w przyszłości nie sprowadzać nic drogą morską z Niemiec i nawiązać z powrotem pertraktacje handlowe z Anglią.

Na to, że o Włochy idzie walka, wskazuje i ostatnia wizyta Ribbentropa z całym sztabem współpracowników, jak i w ślad za tą wizytą idące sensacyjne spotkanie wodzów faszyzmu i hitleryzmu na Brennerze Cel jego nie jest jeszcze wiadomy. Najprawdopodobniej wiąże się on z walką o Bałkany.

Wojna dyplomatyczna toczy się i na Dalekim Wschodzie o stanowisko Japonii. Zbyt jednak jest ona skomplikowana, by dało się nawet po bieżny szkic tej walki w tym artykule zmieścić.*)

PODSUMOWANIE

Zakończmy ten artykuł, który zaczęliśmy od stwierdzenia dyplomatycznego zwycięstwa Hitlera przypomnieniem decydującej jego dyplomatycznej klęski.

Cały plan wojenny Hitlera oparty był na tym, że albo Polska zostanie odosobniona, albo zdąży ją podbić, zanim się wojna rozpęta na Zachodzie i po tym zawrzcę pokój. To jest pewne, że Hitler nie chciał wielkiej wojny europejskiej. To się nie udało. Dnia 3-go września Anglia i Francja wstąpiły do wojny, a słynna ofensywa pokojowa Hitlera w październiku spaliła na panewce. Kto zna rozmowy Hitlera z ambasadorem Anglii w przededniu wojny polskiej i między 1 a 3 września, kto słyszał gdańską mowę Ribbentropa i ostatnie mowy Hitlera, ten wie, jak niesłychana była ta klęska dyplomatyczna, jaka jest wściekłość Hitlera, że musi prowadzić tę wielką wojnę, której *wygrać nie jest w stanie*.

Nie dał jeszcze za wygraną. Można być prawie pewnym, że jeszcze raz, zanim rozgorzeje wojna na frontach, Mussolini w imieniu Hitlera zaproponuje pokój na podstawie uznania podboju Polski. Wszak powiedział on Sumner Wellesowi, że wojna skończy się niedługo pokojem kompromisowym. Ale i ta próba podzielił los poprzednich.

Zasadniczą bitwę wojny dyplomatycznej Hitler przegrał. A przegrana ta oznacza dla Niemiec nacjonal-socjalistycznych to samo, co przegrana bitwa nad Marną znaczyła dla Niemiec Wilhelma II.

x x x

*) Szersze oświetlenie sytuacji tego kraju znajdzie czytelnik w artykule: „Japonia na rozdrożu” druk. w 4-ym numerze „Polski Walczącej” z b. r.

Skutki wojny fińsko - sowieckiej — na dalszą metę

Opinia nie tylko Europy, ale szerokiego świata przechodzi prawdziwy wstrząs — wobec chwilowych wyników wojny sowiecko - fińskiej. Brutalny i cyniczny najeźdźca, mimo faktycznych klęsk, przejawiających się we wręcz niewiarogodnie wysokich stratach zdołał jednak zmusić bohaterką Finlandię do przyjęcia bardzo ciężkich warunków.

Naród i opinia polska bardziej, niż każda inna w świecie umie dzisiaj zrozumieć smutek i głęboki żal Finów w obliczu warunków narzuconego pokoju. Żaden bowiem inny naród nie był właśnie, tak jak polski w ostatnich miesiącach, ofiarą olbrzymiej i miazdzącej przewagi wroga, przewagi, która łamała heroizm żołnierza i zwarty opór całego społeczeństwa. Jeśli jednak właśnie my Polacy, mamy niestety największą możliwość zrozumienia i odczucia tragedii fińskiej, to mamy bardziej i wcześniej od innych obowiązkiem oderwać się świadomie od nastrojów obecnej chwili i osądzić położenie z całym spokojem i rzetelnością, a przede wszystkim z rzetelnym okiem na dłuższą metę.

Obliczmy więc i ustalmy spokojnie rezultaty wojny fińsko - sowieckiej. Przede wszystkim nasuwa się fakt, który już się uświadomił w ciągu wojny. Cyniczna i brutalna zabobność sowiecka, która jeszcze w chwili zdradzieckiego najazdu na Polskę 17 września 1939 roku, była przez wrogą nam propagandę pokrywana wykretną argumentacją o „zjednoczeniu ziem ukraińskich i białoruskich celem uratowania ich przed Niemcami”, odsłoniła się teraz w całej swojej jaskrawości. Dla opinii polskiej nie było to oczywiście żadnym odkryciem, tak samo jak utrata faktycznej niepodległości przez państwo bałtyckie nie była dla nas jakimś faktem nieprzewidywanym. zdawali sobie bowiem dobrze sprawę z tego, że Polska jest jedynym filarem, jedyną podstawą wolności narodów wschodniej Europy a zwłaszcza państw bałtyckich. Ta oczywista jednak dla nas prawda, nie była dla wszystkich w Europie jasna i dostępna. Dziś stała się rzeczą zrozumiałą dla wszystkich nie tylko w Europie, ale i w Ameryce.

Drugi czy dalszy moment dodatni, wypływający z wojny fińsko - sowieckiej — to bezceremonialne i bezapelacyjne zdemaskowanie istotnej wartości armii sowieckiej, a przede wszystkim bezładu i chaosu, który zwie się bolszewizmem i gospodarką sowiecką. Również prawda u nas znana i rozumiana, a obca szerokiej opinii politycznej świata. Dziś gdy okazało się, że mała armia trzy i pół milionowego narodu — coby w rzeczywistości w warunkach i na przygotowanych pozycjach — zdołała stawić czoło przez 104 dni armii państwa, które chwali się, że liczy 180 milionów, — mit sowiecki okazał się nieporównanie gorszym wydaniem „kolosa na glinianych nogach”. Sumaryczne wykazy wskazują, że straty sowieckie w stosunku do fińskich, były co najmniej siedmio-, a najprawdopodobniej dziesięciokrotnie większe. Sowiety na małych stosunkowo odcinkach w walce z liczbowo tak słabym przeciwnikiem, — straciły co najmniej 200 tysięcy, a prawdopodobnie do 350 tysięcy ludzi zabitych, ciężko rannych, a zwłaszcza zamarzłych na śmierć. Są to proporcje strat i sił w dziejach wojen naprawdę wyjątkowe. Odsłaniają one istotnie oblicze naszego drugiego wroga, w szerokim świecie zresztą zacierane propagandą.

W ten sposób zbliżamy się do trzeciego momentu dużej a dodatniej wagi z naszego stanowiska. W myśl oświadczenia premiera Sikorskiego i według ostatniego komunikatu szefa sztabu pułk. Kędziora, znajdujemy się w stanie wojny z

Sowietami. Jest to sprawa prosta i jasna. Natomiast stwierdzenie niesłychanej wagi przyniosła deklaracja premiera francuskiego Daladiera, deklaracja podtrzymana przez premiera angielskiego Chamberlaina, a mianowicie, że Francja i Anglia przygotowały wojska do wysyłki na wojnę z Sowietami po stronie fińskiej. Ekspedycja ta nie doszła do skutku jedynie w skutek odmowy przepuszczenia tych wojsk przez Szwecję i Norwegię, czyli konieczności naruszenia terytorium neutralnego, czego w myśl swojej ideologii państwa alianckie nie chciały zrobić. Ekspedycja więc korpusu pomocniczego przeciw Rosji nie doszła do skutku, nie mniej na porządku dziennym spraw europejskich pozost

Speaker londyński pisze:

Londyn, 17-go marca 1940

Drogi Redaktorze,

Wśród listów, jakie poczta przynosi do wielkiego białego gmachu British Broadcasting Corporation, czyli w skrócie BBC (czytać, jeśli laska, Bi-Bi-Si), znalazł się i Pański. Brzmiał on nadmiernie uprzejmie, jak na czasy wojny. Pyta się Pan, czy byłbym skłonny pisać dla gazety żołnierskiej, która rodzi się w Paryżu. Czy byłbym skłonny? Doprawdy, nadmiar uprzejmości i względów dla speakera w cywilu! (Wprawdzie przepisy angielskie przewidują, że wszelaka prasa i radioci należą do wojskowej służby pomocniczej, ale nie wydali nam mundurów i każą chodzić w własnym cywilu). Bardziej na miejscu i na czasie było by napisać: pisać zaraz i rozsądnie! Na co odpowiedziałbym: rozkaz!

Okazuje Pan jednak przedwojenne maniere, jest Pan liberalny, jeżeli chodzi o tematy, i nie każe mi Pan pisać rozsądnie. Mimo tej dyskrekcji, postaram się pisać trzeźwo i do rzeczy, o tym, co interesować może żołnierzy i czego by się chcieli dowiedzieć poza słuchaniem głosów naszych ze stacji londyńskiej.

A że najłatwiej zacząć jest od własnej kuchni czy podwórka (jak wolicie), więc wspomnę na zawarcie znajomości coś nie co o kulcach londyńskiego głosu. W pierwszym zaraz zdaniu pochwaliłem się ową pocztą, która zjawia się w wielkim białym gmachu, co przypomniał kształtem transatlantyk. Nie jest to żadna przesada, ale sekcja polska Radia Brytyjskiego, nie jest na pewno kopciuszką wśród rozmaitych polskich poczynań rozsianych po świecie. Przez pół roku naszego działania — ściśle 7-go września zaczęliśmy posyłać w eter nasze programy — przewaliliśmy się przez nasze biurka tysiące listów. Pisano do nas ze wszelakich doprawdy kątów. Nie tylko emigracja nasza z Rumunii, Łotwy, Estonii czy Węgier — pisali Polacy z Kongo belgijskiego i Ameryki południowej, pisała okupacja sowiecka w Polsce, przekradały się listy z okupacji niemieckiej.

Nie zabrakło tam listów z Danii, od kolonii naszej z Belgii, Holandii, no, i oczywiście moc listów od naszych z Francji. Krzepiące to były listy, od serca pisane. Wiele krytyki dawnych rzeczy, wiele wiary, że będzie inaczej, wiele miłości do sponiewieranego kraju. Te listy były najpiękniejszymi chwilami, które łączyły nas, ludzi z za biurka i mikrofonu, z wielką polską gromadą, szarpaną uczuciami rozpaczy i nadziei. Były to chwile, kiedy widzieliśmy, że praca nasza jest pożyteczna, że jest oceniana, że głos nasz jest słyszany.

Przed mikrofonem londyńskim odcytano już tysiące nazwisk wychodźców, którzy chcieli dać w ten

stał fakt, że przez powyższe oświadczenia swych premierów Francja i Anglia znalazły się jakby w stanie wojny moralnej z Sowietami.

To byłyby te trzy zasadnicze a niewątpliwie dodatnie momenty wypływające dla nas z przebiegu wypadków związanych z wojną fińsko-sowiecką. Były to jednak dotychczas stwierdzenia wypowiadane ze stanowiska obserwacji robionych w Europie i dla Europy. Tymczasem niewątpliwie nastąpi fala zjawisk wywołanych wojną fińsko - sowiecką, a wypływająca z charakteru i struktury tego całkiem innego świata, który się nazywa Rosją, obojętne carską czy sowiecką. Rosja przez swą rozległość, brak komunikacji i cenzurę, nie jest krajem dostępnym

sposób znak życia swoim w Polsce. Idea przyjęła się, Anglicy sami rozpisywali się w swojej prasie, jak wielkie i pożyteczne dzieło ludzkie spełnia radio. Po raz pierwszy bodaj w dziejach radiofonii na tak wielką skalę podjęto sprawę porozumienia się rozdzielonych i rozbitych przez zle losy.

Dziennik radiowy polski z Londynu, podawany trzykrotnie w ciągu dnia w porcjach piętnastominutowych, jest zasługą naszych sprzymierzeńców. Anglicy stworzyli tę placówkę w ramach swoich zagranicznych programów, które wołają świat w dwudziestu blisko językach. Mówią Czesi i Hiszpanie, mówią Holendrzy i tzw. Afrikaans, mieszkańcy Afryki południowej, mówią Francuzi i Egipcjani, Rumuni i Włosi. Ale bez przesady powiedzieć można, że mało który biuletyn radiowy jest tak chciwie chwytany i wśród takich niebezpieczeństw słuchany, jak polski biuletyn z Londynu.

Radio paryskie podaje Wam materiał obszerniejszy, posiada więcej czasu do spraw szczegółowych, mówi Wam więcej o Polsce. Londyn musi być zwierciadłem Imperium Brytyjskiego. Celem jego jest wiadomość, informacja w skali światowej. Rzeczy morskie, które stanowią ośrodek zainteresowania Anglii — a na morzu odbywa się też najbardziej realna i zawzięta wojna — pojawiają się w audycji londyńskiej częściej, niż do tego przeciętny Polak nawykł. Rozważania gospodarcze, sprawy handlu zamorskiego — także występują okazale, bo też wojna obecna jest w większym, niż dawniej stopniu problemem ekonomii i właściwej organizacji gospodarki.

Dajemy Wam świat widziany przez oczy Anglii, mocarstwa, które przystąpiło do wojny w tym rytmie, do jakiego nawykło.

Powie ktoś gorętszy: tam u licha, wolelibyśmy, ażeby ta wojna już się zaczęła! Dlaczego nikomu się nie śpieszy? Ale zapomina, że każdy organizm ma swoje tętno i swój rytm oddechu. Anglia nie może oddychać tak, jak n.p. Polska. Prowadzi ona wojnę według swoich obliczeń, musi nadać wojnie swój krok. Gorąco kapany nie ma racji, kiedy chciałby dostosować wszystko do swojej niecierpliwości i polskiego temperamentu. Zapomina on, jakich olbrzymich rzeczy dokonuje Anglia c o d z i e n n i e a na każdym polu, jaką pracę odwała się na morzach, w fabrykach, w powietrzu, jakie miliardy płyną na wojnę. Laik nie widzi tego, ale to wszystko jest i rozwija się.

To właśnie chciałem powiedzieć Wam na samym wstępie, niecierpliwi Polacy. O tym tempie angielskim, o tej pracy, którą nikt się tu nie przechwala, napiszę Wam na drugi raz.

Speaker londyński

takim wstrząsem i wpływom, jak inne kraje Europy. Wzburzenie opinii, potępienie rządu, gwałtowna krytyka wszystkiego tego, co jest, odbywa się w Rosji, słowem mówionym, skargami i opowiadaniem ludzi, a zwłaszcza żołnierzy wracających z frontu.

Byliśmy już w dziejach świadkami, jaki wpływ na całą Rosję miał powrót do swych chat żołnierzy i inwalidów z wojny rosyjsko - japońskiej. Trwało to długo, nie tylko wiele miesięcy, ale raczej rok, zanim te opowiadania o nieprawdopodobnym nieludzim i nieludzkim traktowaniu ludzi za Bajkałem w czasie wojny, wstrząsnęły całą Rosją i przyniosły rewolucję lat 1905 - 1906. Dziś wróci do Rosji sowieckiej cały kontygent nieszczęśników, stokród bardziej nieludzko traktowanych i pędzonych przez swych komisarzy bolszewickich, niż przez dawnych rządców carskiej Rosji. Rozpłyną się po całej Rosji setki tysięcy mimowolnych agitatorów, opowiadających jak marzli i ginęli na łodach Finlandii i to w imię polityki, która głosi hasło „wojna wojnie” i twierdzi, że wszędzie uchodzi w charakterze oswojonego witalnego radośnie przez „gnębiony proletariat”

Jednocześnie jednak tymi nieszczęśnikami sowieckiego systemu wojskowego, rzucającego ludzi na śmierć i mróz bez cienia troski o żołnierza, rozplywają się po tej Rosji „wyswobodziciele Ukrainy i Białorusi spod kapitalistycznego wzyku Polaków”. „Oswobodziciele” ci przynoszą ze sobą opowiadania i opisy, jak to w tym „piekle kapitalistycznym” mimo wojny i zniszczenia — było jeszcze wszystkie wbród. Opowiedzą oni, że jednak tym „oswojonym” powodziło się mimo wojny nieporównanie lepiej, niż im w czasie pokoju. Opowiedzą, że w tym „piekle kapitalistycznym” można było z początku wszystko dostać i kupić bez trudu a na pojęcia sowieckie prawie za darmo. W ten sposób w niejednym zapadły kąt tej olbrzymiej sowieckiej Rosji, do którego od lat przeszło 20 nie docierało ani słowo prawdy, dotrze początkowo może słaby promień oświetlający zarówno nieludzką brutalność sowieckiego systemu, jak i tragiczną bezskuteczność i katastroficzną sowieckiej gospodarki.

Dla każdej Rosji, carskiej i sowieckiej, wszelkie wojny stanowiły i stanowią przede wszystkim — ogromne niebezpieczeństwo wewnętrzne. Niewątpliwie za czasów carskich, po jakimś n.p. wojnie krymskiej, czy za czasów sowieckich po wojnie polsko-sowieckiej, rosyjski aparat administracyjny, obojętne carski, czy sowiecki, rzucał się natychmiast do opanowywania tego niebezpieczeństwa powojennego. Będzie to także teraz robił Stalin i jego aparat, ale przecież wojna ta trwała zbyt długo, sytuacja była zbyt okropna, straty i kompromitacja zbyt wielka, by zgębienie tych wszystkich głosów mogło być łatwe.

Wszyscy głębsi znawcy bolszewizmu i Sowietów, zwalczając wszystkie złudne nadzieje wewnętrznego załamania się systemu sowieckiego wskutek takich czy innych braków ekonomicznych, lub przez takie czy inne walki partyjne, zawsze zgodnie i słusznie stwierdzali, że Sowiety i Rosję może poderwać tylko jedna jedyna rzecz: wojna, a raczej nastroje powojenne. Wojna taka skończyła się niestety zawczasem, toteż przyjaciel bolszewizmu hitleryzm niewątpliwie odetchnął z ulgą.

Nie mniej ta wojna była, te nastroje powojenne przyjdą, obowiązkiem wszystkich, wszystkich bez wyjątku, którym jest droga wolność człowieka, jest pogłębianie tych nastrojów. Zewnętrzny pokój Sowietów może, a raczej powinien stać się początkiem wojny ale wewnętrznej.

Aleksander Rawski

Śpiewam dla żołnierzy

Był początek listopada, kiedy zaproszono mnie po raz pierwszy do śpiewania w obozie polskim. Tkwiłam dni i noce przy aparacie radiowym, dygotałam z nieustającego przejścia wobec tego, co jego fale przynosiły ze wszystkich stron. Byłam w Paryżu jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym Polakiem, który chwycił za eteru wieści, lecące jak lawina, a napewno jedynym, który pochłaniał je w tak olbrzymim zakresie. Słuchanie okropnej pieśni wojny, nie śpiewanie malutkich piosenek — stało się moim zadaniem i zawodem. Nie myślałam o śpiewaniu, nie pamiętałam prawie, że kiedykolwiek śpiewałam.

Zgodziłam się jechać, ale od razu zdjął mnie strach przed nieznaną publicznością, zaczęła mnie dręczyć świadomość, że to, co dotychczas śpiewałam nie będzie odpowiadało potrzebom i upodobaniom słuchaczy. Lęk nie opuszczał mnie przez całą drogę do obozu. Wzmógł się jeszcze, gdy na miejscu zażądano ode mnie piosenek żołnierskich. Przrzekłam — na półtoręj doby przed koncertem — że się nauczę. Gdy już przrzekłam, przeraziłam się. Przecięż od jakichś 6-u lat, od czasów burzliwych przygotowań pierwszych moich koncertów, kiedy zdarzało mi się nauczyć jakiegoś wiersza czy piosenki w przeddzień występu — nie zrobiłam niczego podobnego. Co to będzie? Napewno skandal.

Nazajutrz zaczęłam robić próby z akompaniatorem, doktorem medycyny w żołnierskim mundurze. Dostałam przepustkę i wchodzę do obozu. Idziemy szosą pod górę, przechodzimy obok równo wyciągniętych baraków. Czuję się trochę speszona, bo żołnierze mi się przyglądają. Jest mglisto, wilgotno. Nie wiem, dlaczego mi ten pejzaż obozowy przypomina Polskę, a raczej krajobraz w Poznaniu. Widzę siebie spacerującą w takie same wilgotne, szare dni za miastem koło cytadeli poznańskiej. Były tam takie same świerki, jak tutaj na pagóreczku niedaleko wejścia, tylko, że nie widziało się tylu żołnierzy. Takie samo wisiało siwe i miskie niebo nad płaską, mokrawą ziemią.

Pianino w „Foyer du soldat” jest sztuką muzealną. Gruchot taki, że aż rozczulający. Klawisze nie mają już powłoki, świecą gołym drzewem, 3/4 tonów nie odpowiada wcale, albo niechętnie, w reszcie trzeba uderzać z całych sił, aby wydobyć dźwięk, przypominający starą katarzynkę, albo brzęk garnków. Myślę, że trzeba tutaj wynaleźć jakąś specjalną technikę, ulaskawić ten zmęczony sprzęt, to w końcu wyda i z siebie jakieś możliwe dźwięki. Przypuszczenie jest słuszne. Po 15 minutach mocowania się z wrogiem, słyszysz melodię całkiem podobną do tej, którą mam zamiar śpiewać, zdaje mi się, że przy dostatecznym użyciu pedala wszystko brzmi całkiem możliwie. Nauczyłam się szybko swoich nowych piosenek, pracujemy razem przeszło godzinę. Akompaniator białda nad fortepianem, do którego ja czuję już duży sentyment.

Pó obiedzie idę na mały spacer. Miasteczko obok obozu jest nijakie. Krzywo wygięty szereg domków z jednej strony, przeważnie kawiarnie — jedna przy drugiej. Dopiero za miasteczkiem zaczyna się krajobraz, w którym powtarzają się ciągle smugi świeżo zoranego pola, na nich drzewa obsypane jabłkami i jakieś inne. Ziemia faluje lekko. Jest cicho, niewiele domów przy drodze. Powietrze pachnie świeżo wykopanyymi ziemniakami, ziemią dopiero co zoraną i wilgotną trawą. Znowu przypomina mi się Poznań. Dziwię się trochę, że chłop pogania woły po francusku, a nie polsku.

Idąc wspominam, że jest to pieśniana ziemia. Niemal z każdej miejscowości wokół obozu kojarzy mi się jakaś piosenka. Tylko parę kilometrów stąd, śpiewa się w drodze na

pasterkę, moją ukochaną kolendę, w której chłopkowie umawiają się, jak najgodniej zagadać do Boskiego Niemowlęcia. Moje serce ma ten, który w nieśmiałości postanawia tylko udawać, że coś mówi; Jezusek pomyśli, że mówi coś nadzwyczajnego:

— Et ma qui n'es point trop hardi
Quand j'irons a g'noux devant li,
D'causer je ferai semblant
Le p'tit Jésus crera que j'dis
Des merveil's entr' mes dents.

Z pianinem popsuto mi całą przygodę. Postanowiono postarać się o inne, znajdujące się w jednej z kawiarni w miasteczku. Rzeczywiście jest to Bechstein — wobec tamtego, obozowego. Ustępuje, bo dla produkcji lepiej. Ale właściwie jest mi trochę smutno. Do tego instrumentu bardzo średniej jakości, zupełnie normalnego, nie można mieć bardziej osobistego stosunku. Jest zupełnie nieinteresujący przeciętnym sprzętem. Nie to, co tamten, wzruszający stary gruchot.

W niedzielę rano próba. Mgły już nie ma, słońce świeci wspaniale, jest ciepło i bardzo gwarno. Próba jest raczej udana. Akompaniator ślicznie się wszystkiego nauczył. Sala jest dość duża, z prymitywną sceną. Rzędy ławek, u góry galeria i olbrzymie drzwi w głębi, jak od hangaru. Zimno piekielnie, ale akustyka zdaje się, być dobra.

Trema nie opuszcza mnie aż do występu. Gdy przychodzę na koncert, jest już bardzo pełno, żołnierze ustawieni w długim ogonku przed budynkiem, napływają ciągle. Po 15 minutach sala jest wybita. Robi się od razu ciepło, gwarno, nastrój jest właściwie wesoly. Zaczyna się akademie. Przemówienia.

Po przemówieniach wdrapuje się na scenę chór i śpiewa 4 żołnierskie piosenki. Bardzo to wzruszająco wygląda. Wszyscy są w tych trochę wyświechtanych, niebieskich mundu

IWONKA

(Piosenka chóralna)

Słowa: Antoni Bogusławski

Muzyka: Andrzej Lorent

Poza wykonaniem w oddziałach Armii Polskiej — wszystkie prawa zastrzeżone.

Niechaj szybko, z umiarem.

p - mf - f

1. Dzie-wczy-n-ko, I-won-Ko, Czar-nu-szko, Bre-ton-ko, Nie u-chodzi-że mi mię-dzy drze-wa, Nie u-mknij mi rę-ki, Wy-słu-chaj pios-sen-ki, Tej, któ-rą ci żoł-nierz za-spie-wa, Nie u-mknij mi rę-ki, Wy-słu-chaj pios-sen-ki, Tej, któ-rą ci żoł-nierz za-spie-wa.

Dziewczynko, Iwonko,
Czarnuszko, Bretonko,
Nie uchodź-że mi między drzewa,
Nie umknij mi ręki,
Wysłuchaj piosenki,
Tej, którą ci żołnierz zaśpiewa.
Nie umknij mi ręki,
Wysłuchaj piosenki,
Tej, którą ci żołnierz zaśpiewa.

Ja myślę, ja myślę,
Że liścik ci wysię,
Gdy będę daleko, na froncie;
Pamiętaj Polaka,
Żołnierza — junaka,

Co kochać potrafi gorąco.
Pamiętaj Polaka,
Żołnierza — junaka,
Co kochać potrafi gorąco.
Pokochał on ciebie,
Pokochał w twym niebie
To słońce, co Francji lśni czarem.
Bo z Francji zwycięsko
Szedł mścić się za kłeskę
Pod własnym, pod polskim
[sztandarem].
Bo z Francji zwycięsko
Szedł mścić się za kłeskę
Pod własnym, pod polskim
[sztandarem].

rach, mają bardzo przejęte miny — śpiewają dobrze, a publiczność już teraz na samym początku jest zachwycona. Oklaskuje każdą piosenkę wprost rozrzutnie. Przypuszczam, że do serdecznego nastroju, jaki salę ogarnął przyczynia się też okoliczność, że to koledzy się popisują a nie nieznanzi artyści.

Wzruszam się bardzo tym niezwykłym zjawiskiem, jakim jest dla mnie to przedstawienie. Badażże po raz pierwszy w życiu odczuwam w tym stopniu wspólnotę polskości. Chwyta mnie za gardło ta polska mowa i melodia śpiewana w sposób trochę nieudolny, ale tym bardziej wzruszający, wzrusza mnie oddanie z jakim pracują ci moi „koledzy” tam na scenie, i oddanie, z jakim słucha cała sala i wdzięczność jaką okazują ci żołnierze za wszystko, co się tam na scenie dzieje. O ileż to przyjemniej pracować dla ludzi tak bezpośrednio reagujących, aniżeli dla tej zwykłej zmęczonej i zepsutej publiczności. Kiedy Henryk Rozmarynowski czyta ustępy z „Ksiąg Pielgrzymstwa” Mickiewicza, już nie tylko ja się wzruszam. Sala jest uroczyście, poważna, wielu po cichu obciera łzy — mogę się już nie wstydzę, skoro nawet mężczyźni ulegli wzruszeniu i łzom.

Teraz kolej na mnie. Wschodzę na scenę, gardło mam ściśnięte z przerażenia, kolana i ręce drżą, ale trzeba zaczynać. Jak zawsze, od kiedy tylko występuję, ślubuję Panu Bogu „poprawę”, jeśli mi się uda zaśpiewać porządnie. Po pierwszej piosence czekam z przerażeniem, a nuż zacząną gwizdać? Nic podobnego, klaszczą i to tak serdecznie, że aż czuję się zastawiona. Skończyłam pierwsze trzy piosenki, teraz nie tylko klaszczą, ale nawet krzyczą „bis”.

Schodzę ze sceny w kulisy, zapominam na sekundę, że według mojej oceny śpiewałam te dwie nowe piosenki poniżej wszelkiej krytyki, cieszę się tylko dziecinnie, że minęło, że nie gwizdali, i że wyraźnie się im nawet podobało.

W drugiej części jeszcze jeden moment głębokiego wzruszenia, to „Modlitwa Konrada”, którą mówi Rozmarynowski. Rzewność, tęsknota, smutek ogarnęły wszystkich bez wyjątku. Patrzę uważnie: nie ma ani jednej obojętnej twarzy, widać, że słuchają z niesłychanym napięciem. Potem już nastrój robi się lepszy. Piosenki stają się weselsze, żołnierze zaczynają się bawić. Jedną z piosenek przerwali z radości oklaskami pośrodku zdania, i trzeba było czekać, aż się uspokoją, zanim można było śpiewać dalej. Na bis musiałam zaśpiewać jeszcze po francusku. To wprawdzie zupełnie nie było przewidziane, ale jakoś poszło, chociaż akompaniator był bardzo przerażony.

Niedługo potem śpiewałam na Boże Narodzenie. Cztery koncerty w ciągu dwu dni. Ale droga była już utarta, Ciemna, dysząca ciepłem i gwarem sala — znajoma i bliska. Można było jakoś przetrwać i to, że tym razem akompaniator (dlatego, że nie lekarz) umiał grać tylko jedną ręką (prawą).

Ani występ z Malcużyńskim w mieście garnizonowym w pobliżu pierwszego obozu polskiego, ani wieczór w koszarach Bessière w Paryżu nie dały mi takiej sumy przeżyć, jak koncerty, w których zetknęłam się z prawdziwą widownią żołnierską. Widownią jedyną w swoim rodzaju. Bo każdy z tych moich słuchaczy i wszyscy razem są przecież członkami jednego bractwa, ludzi kochających piosenkę. Żołnierze i ja, prócz rzeczy wielkich, których nie uważam się nazywać po imieniu mamy jeszcze wspólną miłość piosenki — tej rzeczy ptaszęco drobnej i ptaszęco czulej. Może dlatego rozumieliśmy się tak dobrze. Może dlatego byli mi życzliwi ponad zasługę. Chowam to we wdzięcznym sercu.

Tola Korian

Co zawierał pewien tornister w roku 1917

B.D.I.C.

Ilekróć czynię przegląd wspomnień z tamtej wojny, wciąż jeszcze zwanej wielką, widzę „oczyma duszy” pewien tornister, pokryty włochatą, jasno-brunatną skórą cielęcą. Należał on do ekipunku cesarsko i królewskiej piechoty, a więc nosił go również pewien jednoroczny ochotnik jegrów. (W rzeczywistości nie był on ani jednorocznym, ani ochotnikiem, gdyż służył dwu cesarzom austriacko-węgierskiej monarchii przeszło dwa lata i przymusowo). Tym jegrem byłem ja.

Tornister jak tornister, nie odznaczał się niczym osobliwym. Miał pewną ilość rzemieni oraz przegródek, i zawierał wszystko, co według przepisów powinien był w sobie mieścić. A więc: bieliznę, ręczniki, szczotki, mydło, suchary i naboje. Zawartość e. i k. tornistra była cprawda standardyzowana, jednakże każdemu żołnierzowi wolno było przechowywać w jego ciasnych zakamarkach również i pewną ilość przedmiotów zwanych „osobistymi”. Do nich to wracam myślą i to myślą wdzięczną. Gdzieś między ręcznikiem a dodatkową parą onucek, nosilem w tym tornistrze kilka kajetów oraz dwa dzieła: „Pismo święte” i grecki tekst Homerowej „Odyssei” w lipskim wydaniu Teubnera. Przebyły one ze mną wszystkie etapy niezbyt sławnej służby, towarzyszyły mi na wszystkich marszach, odwrotach, biwakach, tranzenach, a zwłaszcza krzepie ducha w szpitalach, (polowych, etapowych i rezerwowych), gdzie na koszt cesarza leczono moje ciało, niebardzo wytrzymałe na trudy cesarskiej służby.

Czytałem sobie Biblię i Homera w czasie tamtej wojny, we wszelkich możliwych pozycjach: stojąco, siedząco, na kolanach i leżąc bądź na wznak, bądź na brzuchu. Z tych lektur uprawianych w różnych pejzażach, w różnych porach roku, w różnych temperaturach, w różnym towarzystwie, częstokroć bardzo mieszanym, i w rozmaitych momentach dziejowych wyniosłem — zdaje się — na całe życie to, co krytycy literaccy nazywają „duchową formacją” pisarza.

Być może, gdybym zagłębiał się w tych nieśmiertelnych księgach tak, jak to robią inni ludzie, to znalazłbym całkiem inny stosunek nie tylko do tych wzniosłych tekstów, ale w ogóle do — świata. Ale skoro już los postanowił, abym obcował z Biblią i Homerem w okolicznościach nieco wyjątkowych — więc nie dziwnego, iż skutki tego obcowania były również odmiennie. Los chciał, żeby charakter moich wrażeń, wywołanych lekturą i Homerem, zbliżył się do tych właśnie wrażeń wojennych, które w tak dużym stopniu stanowią o wielkości i patosie tych ksiąg. Los kazał mi żyć z Homerem wśród skłóconych żywiołów przyrody i wśród zwaśnionej ludzkości. W samym niejako centrum spraw ludzkich, spraw ostatecznych, między

ODPOWIEDZI

Gdy Wisłę zatrzymał lód,
Gdy ją gnębi śmiertelna głusza,
To cóż może się Wisłę przytrafić?
Tylko wiosna! I Wisła rusza!

Gdzie są groby i nic, tylko groby,
I lzy oczu, patrzących na nie,
To cóż może się grobom

[przydarzyć?

Cóż innego jak nie zmartwychwsta-

[nie!

Gdy od wielu posepnych miesięcy

Chmura w chmurę na niebie się

[spietrza,

Sypiąc grady, niecąc błyskawice,

Tocząc płaczu nieskończone złoza,

To cóż może się zmienić w

[niebiosach?

— Tęcza błysnie! od morza do

[morza!

L. K.

życiem a śmiercią, między niebem a ziemią, a niekiedy i piekłem, dane mi było pić, upijać się świętym napojem nieprzemijającego piękna i prawdy. A gdy się ma lat dwadzieścia — dwadzieścia i dwa — tego rodzaju pijaństwo pozostawia w organizmie ślady — na całe życie.

„Aż raz w wojskowym szpitalu na jakiejś straszliwej wojnie Mówiłeś do mnie spokojnie

o tym, że miasta się palą...”

Tak pisałem w parę lat później po ukończeniu przekładu „Odyssei” i dziękowałem Homerowi za tyloletnie towarzystwo.

W istocie bowiem, raz, w wojskowym szpitalu postanowiłem przetłumaczyć całą „Odysseję”. Napisałem do przyjaciół, żeby mi posłali słownik, który odtąd wzbogacił zawartość mego tornistra, zabierając w nim zbyt wiele miejsca. Pierwszy człowiek, któremu winien jestem wdzięczność za życziwą pomoc w pracy, był pewien porucznik — lekarz, który oddał rekonwalescentowi — Homerydzie swój gabinet or-

dynacyjny do dyspozycji. W gabinecie doktora J., w szpitalu etapowym Nr... już nie pamiętam numeru przetłumaczyłem „Odyssei” pieśń pierwszą: „Zgromadzenie bogów na Olimpie. Atena wlewa Telemachowi otuchę w serce”. Mnie też. Odtąd nieraz utożsamiałem całą cierpiącą na wojnie ludzkość z boskim wędrownikiem Odyssem.

Z czasu mojego trzymiesięcznego pobytu w szkole oficerów rezerwy w Jägerndorfie (Krniowie) na Śląsku wspominam z największą wdzięcznością wybitnego filologa czeskiego, profesora Franciszka Novotnego. Był on wówczas kapitanem rezerwy i należał do „ciała nauczycielskiego” szkoły. W owym czasie miałem dwadzieścia jeden lat i jako taki nie miałem prawa mieszkać „na mieście”. Z przywileju tego mogli korzystać jedynie koleżdy żonaci, lub tacy, którzy już ukończyli trzydziesty rok życia. Ale bogowie kazali mi tłumaczyć Homera w bardzo młodym wieku, a ten wiek pociągał za sobą obowiązek mieszkania w ko-

szarach, zaimprovizowanych w fabrykach tego pięknego miasta przemysłowego. W ogromnej „cymbrze” zakwaterowana była cała kompania. Nie było tam nawet stołu, przy którym można by jeść menaż. Więc porzeczony przez Pallas Atenę na sercu, udałem się do kapitana Novotnego i zwierzyłem mu się z chęcią tłumaczenia „Odyssei” w godzinach wolnych od służby. Kapitan Novotny przyjął mnie bardzo życzliwie i obiecał uzyskać dla mnie u dowódcy szkoły prawo wynajęcia — w drodze wyjątku — pokoiku „kawalerskiego” na mieście.

Atoli podobnie jak u bogów na Olimpie, tak i w szkole oficerów rez. XI korpusu, nie zawsze panowała zgoda między bóstwami tej szkoły. Mój przełożony, porucznik Y. nie nie cierpiał szkolnego Zeusa, kapita na E. Ale postanowieniem jego sprzeciwić się nie śmiał. Nienawidził on również mojego protektora, ponieważ nienawidził Czechów. Ła two można sobie wyobrazić jak drogo musiałem płacić za prawo mieszkania we własnym, odnajętym u jednego z miejscowych cukierników pokoiku. Za byłe uchybienie porucznik Y. mógł mnie „skoszarować”. Przy każdej sposobności groził mi tym. Toteż każdego rana wychodziłem z domu do służby z karabinem i z duszą na ramieniu, drżąc na myśl że nocować będę w fabryce Müllera, gdzie kwaterowała moja kompania. Za źle zwinęty rzemysł na menażce, za złą odpowiedź z „nauki o terenie” lub z taktyki groziło mi rozstanie się z barokowym biureczkiem w mieszkaniu cukiernika, na którym „wyrąbowałem” dziennie po trzydzieści heksametrow. Ale nie dałem się, szczęśliwie ominałem Scylle i Charybdy Jägerndorfu i nie zostałem „skoszarowany”.

Mój drogi, wierny tornistrze, później, po wojnie, po upadku Austrii, w okresie braku skór, pocięty na kawałki przez mego zacnego stryja. Ty chyba nieraz razem ze mną pocieś się ze strachu, że cenna twoja zawartość zostanie zredukowana do przedmiotów, przewidzianych w regulaminie! Z myślą o Odysseuszu udawałem t.zw. sztrama-ka i pełniłem swe obowiązki z większą gorliwością, niż ta, na jaką mnie stać było!

Dzisiaj z ręką na obolałym sercu, wyznają Wam, żołnierze polscy, iż nie przetłumaczyłbym nigdy „Odyssei”, gdyby nie wojna i moja służba w zaborczej armii. Wojna i wojsko nauczyły mnie Homera lepiej od moich czcigodnych i znakomitych nauczycieli greki w lwowskim gimnazjum przy ulicy Sokola. Wojna nauczyła mnie Homera, a Homer wojny.

Józef Wittlin

Wychodźstwo polskie na FON

W dniu 9. bm. delegaci Zarządu Polskiego Centralnego Komitetu Obywatelskiego w osobach p. Juliana Majoreczyka, urzędującego wiceprezesa oraz p. Piotra Kalinowskiego, sekretarza generalnego Komitetu, zostali przyjęci przez Naczelnego Wodza Armii Polskiej, pana generała Władysława Sikorskiego.

Delegaci P.C.K.O. wręczyli Naczelnemu Wodzowi czek na sumę 500.000 frs., jako 3-cią ratę daru wychodźstwa polskiego we Francji na F. O. N., łącznie z wykazem imiennym ofiarodawców.

Ogólne zestawienie wyników zbiórek na F.O.N. przedstawia się następująco: Od dn. 1. września 1940 r. do frs.

dn. 1. marca 1940 r. wychodźstwo polskie we Francji zebrało . . . 1.447.093.90

Naczelnemu Wodzowi wręcono w gotówce . . . 1.420.000.00

Z polecenia władz wojskowych zakupiono dla wojska:

a) koców za sumę . . . 25.672.00

b) zeszytów i ołówków za . . . 2.083.00

Zawiadamiając o powyższym, niech nam wolno będzie podziękować ogółowi Wychodźstwa za spełnienie obowiązku narodowego oraz wezwać wszystkich Polaków we Francji do dalszej ofiarności na F. O. N.

Zarząd Główny Polskiego Centralnego Komitetu Obywatelskiego.



Andrzej Rubinrot: Na świątecznym urlopie

(B.J. 5250)

„I znowu będzie to samo niebo”

Poległym Kolegom-lotnikom

Był to drugi dzień wojny.

Mgła ustąpiła. Na niebie wisiało słońce. Prażące, piekielne. Przez trzy tygodnie tak z niego lał się ogień, jak z nas krew. Piloci leżeli pod kadłubami swych „Pezeteli” i z cienia patrzyli w oślepiający błękit nieba, nasycony oczekiwaniem wroga. Tylko ci, którzy stali w alarmie, musieli siedzieć w rozgrzanych maszynach, w kombinezonach, ha-lebach, ze spadochronami, przypasani do siedzeń. Czekali.

Było nas trzydziestu kilku, a maszyn dwadzieścia (jedna uszkodzona w przeddzień wojny, druga zestrzelona na froncie leżała między pierwszymi liniami naszej piechoty). Tym, którzy pierwszego dnia mieli harówkę w powietrzu, dano odpoczynek. Mnie wezwano do dowódcy dywizjonu.

W pięknym salonie pałacu w W....., na stole leży komplet map z siatką sektorów frontu łódzkiego. Co chwila z sąsiedniego pokoju, telefonista głośno powtarza, równocześnie pisząc, fonogram któregoś z posterunków dozoru o nalo-cie nieprzyjacielskim.

„Godzina 11,22, kwadrat 21 K — słyszę, — dużo maszyn — wysoko mała — w mgłę — nierozpoznane”.

Rzeczywiście tam może być mgła. U nas opada niedawno.

Inny posterunek nadaje w skrócie: „10,30 — 25 — N — widzę — 6 — duża — kierunek 73 — nieprzyjacielskie”.

I za chwilę: „10,33 — 26 — N — widzę — 6 — duża — 75”

Więc te same przelatują nad sąsiednimi posterunkami, tylko zmieniły kierunek. Lecą od Wielunia. Chwytam linijkę i mierzę. Przelecieli w trzy minuty około 20 km., a więc robią około 400 km./godz. Lecieli do nas na Łódź, teraz wychodzi, że gdzieś na Radom. Nic tu nie zrobimy. Idą zbyt daleko od nas — nie dopędzimy.

Za chwilę znowu meldunek, znowu i znowu. Tu w dowództwie dopiero widzę i dowiaduję się o naszym bezsilnym ubóstwie. Na całym froncie łódzkim jesteśmy sami — dwadzieścia maszyn myśliwskich. Szybkość max. — trzysta z groszami, uzbrojenie — 2 karabiny. To nasze najlepsze maszyny — do walki i pościgu. A ich? Na Messerschmidt'cie Bf 109 lekko przerobionym, w zeszłym roku Fritz Wendel pobił światowy rekord szybkości wszystkich kategorii, osiągając 755 km./godz. w linii lotu. Seryjny „Bleistift” osiągał nieco mniej, uzbrojony w działko i 4 karabiny maszynowe. A „Me 110”? Szybkość ponad 600, cztery karabiny i 2 działka do przodu, dwa karabiny do tyłu. Ale to wszystko nic. Tylko czemu nas tak mało? Dajcie chociaż te nasze „Pszczołki”. Tylko dużo, dużo! Mamy bronić okręgu łódzkiego, latamy na zasadzki, patrolujemy front. Wczoraj i dzisiaj tak samo. Dzielimy się na klucze po trzy i dwie maszyny nawet, aby sprostać zadaniu. Ale gdybyśmy nawet szli pojedynczo — jeden na całą wyprawę — byłoby nas za mało; wypraw szło więcej.

Bracie artylerzysto i piechociarzu! Już nie wydaje mi się dziwne, że zestrzeliliście wczoraj Jasia nad swoimi bródami, i że mnie zestrzelisz, kiedy będę latał nad tobą, aby ci się grad bomb na biedną głowę nie sypał. Oślepiłeś od ognia i nie widzisz naszych znaków, lub oczom nie wierzysz. Boże! oszaleć można.

A tu telefony i telefony. Wreszcie idą i na nas. Gdzieś z południowego zachodu. Dużo — jak głosi meldunek — wysokość średnia. Obliczam, major mnie popędza. Będą u nas za jakieś siedem minut. Telefon na lotnisko: „Wszyscy do ma-

szyn! Klucz alarmowy w powietrze. Czekać na czterech tysiącach nad lotniskiem!” Moment i ryknęła nad dachem jedna ze startujących maszyn, druga i trzecia. Zaraz duch we mnie wstał. Czuję się, jak w maszynie. Szampan — to zero. Niech Anglia przysłała te „Hurricane’y”, albo nie. Wszystko szczeniaki.

Meldunek! Idą dalej na nas. Nagle trzy meldunki kolejne. Że jeden, że trzy lecą i wreszcie, że „dużo” na wschód. Co u licha!

Major jeszcze jedną trójkę rzuca w powietrze. Wystartowali momentalnie. Major z taktycznym zadziereżają głowę, gonią wzrokiem. Jak ci nasi z entuzjazmem pryskają w powietrze! Aż miło.

Nowy szum maszyn, przelatujących nisko nad nami. Ładują. I zaraz telefon z za parku. Przyleciał klucz z zasadzki. Mieli robotę nad frontem, są bez amunicji i benzyny. Więc idzie rozkaz:

— Natychmiast uzupełnić. Postaw ich do alarmu. Stary klucz poleci na ich miejsce na front. Kluczowi, którzy teraz poszedł w powietrze, nadaj przez radio, że mają przede wszystkim ubezpieczać walkę pierwszego.

— Tak jest, panie majorze!

Oho! Już słychać strzelaninę nad chmurami. To pierwsza trójka najechała na Niemców. Słychać z nieba pośpieszne szczekanie szwabskich karabinów, to znowu płynne serie z naszych maszyn i grubszy gulgot armatek nieprzyjacielskich. Czasem przerwa, to znowu huragan wszystkiego naraz. Wreszcie wplątuje się w awanturę artyleria. Widocznie dojrżeli ich. Ciężki stęk wystrzału gdzieś z pod dworca kolejowego, drugi, trzeci. I jeszcze trzy. Za chwilę dopiero dochodzą z nad chmur grzmoty rozprysków.

Huk, dudnienie, a tu telefony. Biegę na werandę, chcę coś wreszcie zobaczyć, ale biją się nad chmurami. Słychać tylko ryk maszyn i strzelaninę.

— Są, są! o, tam, panie majorze! — pokazuje Jeziorowski.

— Widzę... Psiakrew! Artyleria zwarowała!

O, tak! Teraz już ich widzę dokładnie. Wyskoczyli na słoneczną przerwę między chmurami, zadymioną wybuchami pocisków armatnich. Ci się biją, a artyleria strzela. — Jeszcze zwałą któregoś z naszych!

— Lepiej nie wywoływać wilka z lasu, panie majorze.

A tamci kotłują się w górze. Jakis dwumotorowiec niemiecki — trudno poznać co to jest — wywija się rozpaczliwą akrobacją dwu „Pszczołkom” (tak je Niemcy później ochrzczili). Za innym goni trzeci z naszych. Między przeciwnikami wiją się smugi od strzelaniny: długie, proste — od karabinów i grubsze, wężykowate — od niemieckich armatek. Chwilami nikną za strzępami chmur lub w ognistych obłokach rozprysków artyleryjskich; wystzelają w szalonych skrętach, to do góry kołami, to walą się na łeb do ziemi, by znów z ry-

kiem prysnąć pięknym łukiem w górę.

Widać absolutną wyższość zwrotności naszych maszyn. Bijemy ich na łeb, gdy nawet w liczebnej przewadze zechcą przyjąć i stoczyć „bohaterską” walkę. Ale w pościgu — gryziemy palce. Górują szybkością i ogniem. Ich serie, równocześnie z armatek i kilku karabinów słychać, jak długi czerwcowy grzmot. Nasze maszyny ujadają tylko wściekle swymi dwoma karabinkami.

Nagle przycichło. To artyleria wreszcie przerwała ogień. Tamci kropią się jeszcze. Tylko coś przerzedziło się na słonecznej plamie. Nie ma jednego z naszych i Niemca. Nie wiem gdzie są. Nie widziałem całej walki, mimo, że licho mnie nosi od map na werandę. Porucznik zapędza mnie z powrotem.

— Siedź, kiedy ci kazali! Po diabła tu stoisz?! — On niby mnie nie rozumie.

Pionowo z za chmur dochodzi głos silników i grzechot strzałów. Ci goniają szkopów, głos oddala się szybko. I na słońcu cichnie.

Hurra!!! Zaciskam pięści z radości i nienawiści. Niemiec wywinął dziwaczne salto i wali się na pysk do ziemi. Nasz pikuje ostro za nim i strzela. Lufy Szwaba mileczą, tylko maszyna przeraźliwie wyje coraz niższym basem. Zasłoniły ich drzewa parku.

Za chwilę maszyny idą do lądowania. Siada jedna, później druga, za chwilę nadlatuje trzecia i czwarta. To wszystko? Nie. Nadlatuje nisko jeszcze jedna maszyna, zatacza rundę i siada. Brak szóstej.

Czekamy i nadśledzujemy — cisza. Indywidualista. Zawieruszył się gdzieś pewnie i pałęta się po niebie. Major dzwoni do maszyn. Stoję przy telefonie, więc słyszę odpowiedzi.

— Dornier prawdopodobnie zestrzelony.

— Tak, to sprawdzimy.

Trzy maszyny niezdolne do lotu. W dwóch poważnie uszkodzone silniki przez odłamki granatów własnej artylerii lub z działek niemieckich. Trzecia — przestrzelony zbiornik. Czwarta nie wróciła w ogóle. Piotr Ruszel nie wrócił. Pewnie zaraz przyleci.

Ale upłynęło pół godziny i cała, i dwie — cisza. Niemcy też jakoś przycichli w południe. Piotr nie wrócił. Dopiero wieczorem przywieźli go. Prosto do kostnicy. Konto artylerii.

Po południu zaczęła się prawdziwa harówka. Maszyny startują to tu, to tam, na pojedynczych i na trójki, ładują i znowu idą w górę. Mechanicy pewnie wyłażą ze skóry, aby zdążyć ze wszystkim. Tu oliwa, tam benzyna, znowu zastrzyk, lub amunicja. Prędzej! Prędzej!

A ja tu siedzę. Znowu przy mapie. Jestem wściekły. Wreszcie Rysiek, który niedawno wrócił z podziurawionym przypadkowo cylindrem, zastępuje mnie na chwilę, abym mógł połknąć coś z obiadu. Idę obok, do naszej sypialni. Żołnierz przyniósł mi zupę w menażce z mięsiwem,

chleb i czarną kawę. Siadam na łóżku małżeńskim, które dzielę ze Zbyszkiem i usiłuję zmusić się do jedzenia. Z salonu słyszę zmęczony głos telefonisty. Coś tam gdzieś leci. Utkwiło mi w uszach jedynie: „dziewięć” i „bardzo wysoko”. Alarmują nas o nieprzyjaciela, który przechodzi może sto kilometrów obok nas. Z naszą szybkością? Ale słyszę głos mego zastępcy:

— Panie majorze, idą na Łódź! Na Łódź!

— Rzeczywiście, tak to wygląda. Są daleko. Poczekamy czy nie zmienią kierunku.

Chwyćm haubę z łózka, okulary i na palcach wyslizgnąłem się z pokaju. Nikt mnie nie zauważył. Mam dosyć tego bezpłatnego patrzenia na to, jak biją się moi koledy.

Przy maszynach ruch, jak cholera! Sześć gotowych, przy trzech jeszcze mechanicy grzebią, kilka uszkodzonych, reszta na froncie. Z mojej maszyny z trudem wypędziłem młodego kaprala-pilota. Sprawdzam amunicję, ciśnienie powietrza, zapinam pasy — gotów. W innych też już siedzą. Nie startujemy, bo wyprawa podobno skreśliła.

Aż nagle widzę, jak mechanicy wskazują na niebo i krzyczą. Widzę! Przeszli z powietrzem i kręcą za rozrusznik. Raz, dwa — obróciło się śmigło, rzygnęły spaliny z kolektora. Chodzi. Obok również, dalej trzecia. Dają gaz — aż tu mechanik wybiega mi przed śmigło. Zamknąłem hamulce — co u diabła? Daje mi znak: wyłączyć! Oszalał!?

Ale przed maszyną wychodzi dowódca mojej eskadry. I ten rozkłada ręce — wyłączyć! wyłączyć! Wałę się w łeb z wściekłością, klęę, na czym świat stoi. Z taką samą wściekłością wyłączam silnik. Maszyna prychnęła, śmigło odbiło do tyłu — stoi. Tadzio obok postukuje się jeszcze w pałkę i pokazuje w górę.

Widzę. Dziewięć Messerschmittów 109 śmiga górą to tu, to tam. Mają ze cztery tysiące wysokości. Polyskują w przedwieczornym słońcu, jak błyskawice.

Mechanik z pomocnikiem podbiegają do maszyny.

— O co tam chodziło? — krzyczę.

— Nie wiem!

Piorunem pompują mi do Vieth'a powietrze.

— Trzydzieści pięć atmosfer! — wrzeszczę znowu.

— Trzańcie, panie poruczniku!

— Niech trzańcie! Odbiła stara krowa. Niech trzańcie, a musi skończyć, kiedy trzeba będzie.

A Messerschmitty plawią się w słońcu. Śledzimy je wzrokiem wrzyscy. Do kabiny zagląda dowódca.

— Czego pan startuje bez rozkazu?

— No jakże nie startować?!

— Przynajmniej nas wywabić w powietrze. Widzi pan, jak wysoko? Ha? Wystartujecie, będą was włożyli i albo zleją, albo wyładują, ale bez paliwa, bez amunicji. Przyjdzie bom bardowanie lotniska i zerzną dywizjon na amen. Czekać na sygnał. Włączyć radio po starcie!

I po chwili:

— Nasz cel — to bombardierzy. Przez walki z myśliwcami sami się wytłuczemy, a Dorniery dopiero będą hulać!

— Tak jest! — ale nie przekonawo mnie to wszystko.

Messerschmitty dalej buszowały po okolicy bezkarnie, ale nieszkodliwie. Wreszcie zgubiłem je z oczu.

Nagle sygnał: „zapuszczają!” Co, próbny alarm, czy co? Teraz, kiedy Szwaby odleciały. Zakręciłem — kochana krówka skoczyła. Pokazują pośpiesznie — start! Startuje. W powietrzu dołączamy do szyku. Jest nas sześciu.

W KOŚCIELE

*Madonna w fioletowych gazach, martwe anioły nad ołtarzem
Przez okna w kolorowych szklach wiosna słoneczne mgły rozpina
W kadzidłach mszalnych pachną bazie i widać las za górą siny,
Wiatr w organ dmie głosem wierzbiny
Od tego wiatru schnie już darń i małe kwiatki z miedz wyłażą.*

*Kotnych zajęczyc idąc śladem, między bezlistne pręty gajów
Rozgniatam przezroczystry lód, rannym przymrozkiem w strzały cięty
Górę, wysoko nad polaną, słońce arkady chmur umaja
Na kryształowych rozestajach...*

*W wieście dalekim, u ołtarza, przed Panną w fioletowych gazach
Patrząc strwożony na anioły o złotych skrzydłach, martwych twarzach.
Gotyckie ostrobruki szkieł w marcowych godach światłem rosna
O jakże smutne te modlitwy*

mój smutny kraju, smutną wiosną...

Mieczysław Lisiewicz

Włączam radio.

— Tadek, Kazik! — tu Ewa. Tadek, Karol! — tu Ewa. Lecieć na Pabianice, nabierać wysokość. Z południowego-zachodu duża wyprawa bombowa. Powtarzam. Lecieć na Pabianice... itd.

Skoczyłem, jak ukłuty. Załadowuję karabin prawy, lewy. Lecimy na pd.-zachód. Szybkość mała, maszyny zadarte, aby tylko wysokość nabierać. Każdy się skupia. Sześć par rąk, sześć mózgów pracuje z natężeniem. Oczy szukają po niebie.

Wreszcie dostrzegliśmy wroga. Wydaje się, jak azjatycka szarańcza. Wali chmarą, masą. Górą suną trzy klucze, za nimi jeszcze dwie luźne sztuki. Dwusilnikowe dolnopłaty. Ciężkie Junkersy. Dołem dwie trójki jakichś mniejszych. A daleko na horyzoncie jeszcze sześć sztuk. I te „Bleistify” tu gdzieś po okolicy się kręca.

I jedne i drugie są grubo wyżej od nas. Drapiemy się cierpliwie do góry. Chcielibyśmy dojść do tych górnych, ale i do dolnych jeszcze daleko. Pędzą na przód. Są coraz bliżej, wielkie, szare. To Messerschmitty 110. Idą z zadartymi łbami, pięćset metrów wyżej, jakby ich piloci nas w ogóle nie widzieli, jakby chcieli zignorować i przejść nad nami dalej.

Zapatrzeni w nich, dociskamy manetki, „busty”, gnieciemy knyple — byle wyżej, byle bliżej. A szybkość pozioma coraz mniejsza. „Zlitujcie się dranie, zniżcie się! Bijcie się z nami!”

Rzeczywiście zniżają mordy i na pełnym szusie pikują na nas. Automatycznie rozluźniliśmy się. Jestem na prawym skrzydle. Leci na mnie potwór. Z trzech paszczy błysnęło, sześć łuf rzygnęło ogniem. Oślepiło mnie, hurgot w uszach. Oddałem, położyłem. Mignął obok i daleko w dole za mną zawija skręt.

Hurra! Wszyscy jesteście nad nami. Oni w dole. Bokiem wam wyjdzie ten pełny gaz! Ciągną pewnie stery dwoma zębami, ślepia wyłażą na wierzch, gniecie w dolku. Kapie wam pot z pysków? Tak, znam to!

Zawinałem ciasno przez plecy i jeszcze pół krzywego loopinga. Mam go na celowniku na samym krzyżu!!! Ściskam spust na knyplu. Nerwowe wstrząsy kadłuba i płynny łoskot. To moje karabiny grają. Jego strzelec grzmi do mnie. Zaciskam zęby. Jestem, jak pijany. Widzę tylko jego. Szaro-zielony potwór i to drapieżne godło na ognie: czarne macki — zapelniają mi oczy. Przerwywam, poprawiam i znowu kadłub drga od strzałów.

Ryknię na głowę. Oprzytomniałem. O cholera! To nowi. Sześć sztuk wpakowało się w nasze kłbowisko. A górą suną te ciężkie. Chyba się nie odważą zejść w to piekło. Od dołu ciągnie nam pomoc. Dwie nasze.

Mój z przed nosa zwał, skreślił znowu. Pilot bierze mnie na cel z boku, ale nie daje się. Ślady strzałów pokrywają się — moje i jego strzelca.

Ale... i trzecie wplątują się nieco z tyłu. Ściga mnie inny. Zaczynam się bronić przed tym, to tamten mnie goni, więc biorę się za niego już drugi siada na plecy. Podają sobie mnie, jak gracz piłkę — z pod dwu łuf wpadam pod sześć i odwrotnie. Zaczyna mi być gorąco. Nawija się trzeci, prosto na lufy. Puszczam tamtych, strzelam do tego. Przelatują tuż pod nim i dostają się niebacznie w smugę karabinów kolegi, który praży w Niemca. Kopnąłem sterami. Szurnęliśmy obok siebie. Chcę strzelać dalej — stop! Przeladowuję karabiny raz, drugi — nic! Amunicja.

Ładuję. Wrzeczę o amunicję. Pokazują mi bombowce, które lecą nad nasze lotnisko. „Chować się!” ale Zuber ładuje mi pośpiesznie maszynę. Tadzik już startuje z nową amunicją. Bomby upadły na oranię, kawał od lotniska.

Startuję, idę do góry. Nie trzeba się już tak piąć, bo walka toczy się nisko, ale lekka przewaga przyda mi się. Widzę z daleka kogoś w opresji. Goni za jednym Niemcem, a dwaj inni zaczynają z bliska, z odległości metrów po prostu do niego prac. Pomacali go, zdaje się, bo wprostem poszedł do ziemi.

Inny bije się z dwoma, dalej to samo. Skoczyłem w środek kłbowiska. Pomagam to jednemu, to drugiemu. Oczy latają na wszystkie strony, chwytają w lot każdą sytuację i przekazują na ręce. Myśl przestała pracować, jest zbyt wolna. Mięśniami rządzą odruchy, instynkt.

Wtem błysk i płomień. Chryste! Nasz się pali!!! „Czwórka” się pali! Dzwonek tam siedzi. Był na zasadzce, przyszedł nam w pomoc i sam leży. Może jeszcze wyskoczy. Ale ognista kometa idzie do ziemi, jak licho. Tylko ogień i dym za nią się ciągnie. Nagle rozkwitł biały jedwab spadochronu. Dzięki Bogu!

Co to? Strzelają do niego Messerschmitty? Na spadochronie?! O, sk... syny!!! Bydlaki!!!

I bliżsi rzucili się na ratunek, ale młody Malinowski już ma zbrodniarza i daje mu cięgi. Niemiec dał w gaz do ucieczki. Przed karą, która go jednak nie ominęła. W parę minut zostały z niego całe tylko końce płatów i ogona. Wkrótce i następny został stracony. Reszta zwała. Wylądowaliśmy.

— Dzwonek żyje. Jest w szpitalu — mówi nam. Po południu poleciał na zasadzkę. Około 16,00 wystartował z Edkiem Kramarskim na Heinkle 111, które sły obławowane bombami. Nie zauważyli jednak, że za nimi sły Messerschmitty. Te podeszły blisko, oddały po kilka seryj i skończyły się.

Edek został zestrzelony, a Janek doleciał do nas i kiedy zobaczył, że się bijemy, i on poszedł do walki,

nie zwracając uwagi na przestrzeloną nogę i kiść ręki, no i na posiekaną maszynę. Kiedy maszyna stanęła w płomieniach, był tak osłabiony, że w ogóle nie chciał skakać. Wszystkie było mu już obojętne. Pali się? A, niech tam diabli!... Ziemia blisko, podsmaża się trochę, grzmotnie i koniec. Nasi nawet nie poznają, że to on był. Przeliczył się jednak — ziemia była dalej. Ból palącej się twarzy, rąk i kolan wypędyli go z maszyny. Ranny, poparzony, ale może będzie żył.

Pokłóciliśmy się z Tadkiem o tego Messerschmitt'a. Udawadniałem mu, że ja zestrzeliłem, on przeciwnie. Wprawdzie „szyliśmy” po nim obydwa, ale jakieś dobre dwa kilometry przed finałem byłem tuż za nim. Leciał tylko na lewym silniku. Aż wreszcie trafiałem i pilota, bo rąbnął w torfy, aż się na kawały rozleciało gracisko. Tadek dopiero wtedy nadleciał.

Na końcu przegadanki zaproponował spółkę. Po tej walce miałem takie święto w sercu, że byłbym mu dodał jeszcze dwa „Dreideckery” z wojny światowej dla świętego spokoju.

3-go września przybyły nam dwa Henschle 126, które zestrzelił Pretek i Urbańczyk przy froncie. Chłopaki cieszyli się jak zwariowani.

I mój Ju 86. Nie chwalebne go zresztą. Tylko cierpliwość. Wziąłem go przez zaskoczenie. Był na pięciu tysiącach metrów, kiedy ja miałem niecałe dwa. W tej chwili, gdy radio kazało mi lądować, błysnął wysoko w luce między chmurami. Wrzasnąłem do mikrofonu „Mam go!”, zostawiłem swych bocznych, wrzepiłem gaz i stałem pod nim i pod nim, coraz wyżej i bliżej. Z wstrzymanym oddechem, aby go nie spłoszyć — doszedłem.

Zauważył blisko. Strzelec zaczął

LISTY ŻOŁNIERZY DO DZIECI

Między wielu żołnierzami obywateli polskich, a dziećmi polskich emigrantów we Francji zawiązała się wzruszająca korespondencja. Jest ona napewno nie najmniej ważną drogą zbliżenia, jednoczenia się wszystkich Polaków, przebywających na gościnniej ziemi francuskiej - w jednym akcie miłości do Polski, w jednym akcie woli służenia Tej sprawie.

Z tej korespondencji ogłaszamy jeden list, aby został na świadectwo, aby stanowił wzór i zachętę. Redakcja

Dnia 25. 12. 1939 r.

Kochana Trudeczko!

Przed wszystkim to Cię przeproszam mała Trudeczko, że Cię tak będę nazywał to jest „Mała” i „Kochana”, bo gdybyś Trudeczka nie podała daty urodzenia to bym się Jej nie ośmielił tak napisać. Przeto myślę, moja maleńka, że biednemu żołnierzykowi wszystko wybaczysz i choć mi odpiszesz, że ten list otrzymałaś. Będę się bardzo cieszył, gdyż to mnie nikt nie pisze.

Pewno pomyślisz, skąd może znać „maleńka” Trudzie jakiś tam żołnierz. Otóż zaraz Ci wytłumaczę. Otrzymałem małą paczkę świąteczną, czyli gwiazdkę. Otóż w tej paczce był duży zeszyt ciemno fioletowy. Byłem niezmiernie ucieszony, gdyż o papier jest stosunkowo trudno, a jestem w Szkole Podoficerskiej Artylerii, co mi się niezmiernie przydał. Zeszyt wewnątrz na okładce miał umieszczony adres, na który kreślę ten oto list do swej Malej Gertrudy, która jest urodzona w roku 1928. Co za ledwie masz moja maleńka jedenaście lat, ale to nie szkodzi i nie jest mi wzbudzone napisać do maleńkiej Trudy.

Przed wszystkim Maleńka Trudo! dziękuję Ci za dobre serduszko,

że nie zapominasz o żołnierzu polskim, który musiał tyle ucierpieć, który jeszcze raz będzie się musiał zmierzyć z przekłętym szwabem. Jednak Maleńka możesz być dumna, że jesteś Polką, gdyż jesteś obywatelką Polski, która okryta jest sławą i jeszcze krwawo zapisze się na kartach naszej historii. Musimy pomóc te zbrodnie, jakie popełnili na naszych matkach, ojczach naszych rodzicach, dzieciach i starcach, których germańskie czolgi i karabiny maszynowe bezlitośnie mordowały. Otóż Trudziu musimy pomóc te zbrodnie i uczynimy Wolną Polskę, gdzie będziemy mogli swobodnie siedzieć przy ciepłych kominkach, i nucić „Bóg się rodzi”, albo „Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj”. Mamy nadzieję Małka, że na przyszłą wigilię nie będziesz przesyłać paczek dla nieznanego żołnierza.

Teraz Trudziu napisz mi, czy masz Rodziców, gdzie pracują. Jak dawno jesteście we Francji, czy tęsknisz do Polski i czy mi małuśka pozwolisz, kiedy jeszcze do siebie napiszę. Przeto kończę ten list i jeszcze raz podkreślę Twoje dobre serduszko i patriotyczne uczucia. Kończąc ten list, załączam moc życzeń Noworocznych oraz wszelkiej pomyślności.

Kreślę się z szacunkiem i poważaniem

Augustyniak J.

P. S.: — Mała Trudziu proszę mi napisać, ile masz braciśzków i siostrzyczek. Również się zapytaj Rodziców swoich, czy Ci pozwolą odpisać a zarazem proszę się kłaniać tatusiowi i mamusi. List pisać możesz bez znaczka, tylko trzeba zamiast znaczka napisać dwie litery, takie F. M. to jest Franchise Militaire.

Jeszcze raz załączam miłe pozdrowienia dla wszystkich Twoich znajomych.

Wielunianin

rechotać z armatki, pilot dał gaz do ucieczki. Grzmiałem długo, cierpliwie — na coraz dalszą odległość. Uciekał. Śmiały się pewnie wszyscy czterej. Wystarczy im tego śmiechu na całe życie... pozagrobowe. Rozluźniłem dopiero dłonie i szczęki, kiedy stanął w płomieniach. Puściłem spocone rękawiczki. Maszyna sama poszła do góry, zawisła. i zwała się do ziemi! Położyłem ręce na kabinie, głowę na owiewce.

Taki przyjemny wiatr...

4-go września przyszła zemsta. Mielśmy sporo maszyn w reperacji. Kilka na zasadzkach, reszta poleciała na wymiatanie. Zostały dwie.

Koło południa zjawia się Dornier. Jeziorowski, który był na lotnisku wskoczył do maszyny i w górę. Za nim Zdzich. Gonia, strzelają. Poszedł do ziemi! Musi leżeć! Tak przecież smugi Zdzicha i dalsze — naszego taktycznego — w nim tonęły.

Och! Idą Messerschmitt'y 109. Dojrżeli ich nasi. Uderzają na pierwszego, wali się na nich reszta. Dwóch przeciw dziewięciu. Rozdzielili naszych. Zdzich gdzieś spadł. Wszystkie na Jeziorowskiego. Bohaterzy! Potraficie z 45-cioma łufami iść na dwie.

Wywijał mu się długo. Kapitan pomagał im przez radio. Odnosiło skutek, ale... Tadzio zaczął balansować. Widać, że ręka szukała sił w mięśniach i nie znalazła.

— Ładuj, ładuj!

Posłyszał jeszcze. Ostatkiem sił zrozumiał. Wpoprzek bruzd podszedł do lądowania. Nie ślizgał się z fasonem, po swojemu. Tylko kiedy jeszcze przeszli kolejno nad nim i rzygnęli ogniem, poszedł na łeb do ziemi. I z ognia wydobyliśmy krzywą miniaturę.

Spalili nam kilka uszkodzonych maszyn na lotnisku.

Wieczorem mieliśmy w kaplicy szpitalnej pożeganie z Jeziorowskim, Ruszlem i Kramarskim. Leżeli cicho. Jak gdyby nie czuli spalonych nóg, nie widzieli swych poszarpanych od kul mundurów i tych luźnych strzępów ciała.

Piąty dzień wojny.

Nie mamy maszyn, ani radiostacji. Z kilkoma poszatkowanymi samolotami podrywamy się jeszcze na mniejszego nieprzyjaciela. Pojedynczo. Ale teraz idą już tylko duże wyprawy.

Właśnie z daleka ciągnie po niebie głuche dudnienie. Coraz bliższe, potężniejsze. Brzemienne w bomby, kule, zniszczenie, śmierć. Suną zniebawione bestie. Rycerze walczący o „Lebensraum”. Dajcież im nowy szmat Europy, aby mieli gdzie osadzić niewolników, których jutro zażądają. Goebbs już to wykombinuje, że to wszystko było ich, z nim jeszcze z Azji przyszli.

W przerwie między koronami drzew widać wysoko czoło wyprawy. Liczymy:

— Trzy, sześć, dziewięć, dwadzieście, piętnaście... Chryste! — trzeba przelknąć ślinę, by liczyć dalej:

— Dwadzieścia siedem.

Lecą trójkami w długiej kolumnie, błyszczą w prażącym słońcu.

Gardło ścisła głucha, bolesna nienawiść. Bydła!... gdy byście wy znali jej ogrom!... Gdybyście wiedzieli, jak długo tę nienawiść będziemy nosili w piersiach.

Apatia. Znowu głuche dudnienie, przesiąknięte jak szloch — łzami, strachem, bólem. Wracają lotry. Jak rzezimieszki z „mokrej roboty”. Z umazanymi w krwi ludzkiej łapami. Może nawet w małpich zuchwach mamlą gumę. I jeszcze im słońce świeci. To cholerna słońce! Bezrobotni piloci goniają tylko wzrokiem bezsilnym i zmęczonym — bandycą karawanę. Tamci odlatują spokojnie, obojętnie. Nawet kłamieniem nie można w nich rzucić.

Czesław Głowczyński

Za Lublinem

Od Lublina do Lwowa szły za nami obrazy bombardowanego miasta. Im bardziej oddalaliśmy się, tym bardziej rosły, wypełniały się szczegółami i krwią. Pociąg szedł wolno, okrężnie, na małych stacjach doganiali go ludzie, którym starczyło ben zyny tylko do tego miejsca i którzy zostawiali na drodze swe samochody. Doganiali go nawet ci, którzy przy lubelskiej rogatce schwytyli furmankę i gnali przed siebie pogubiwszy bagaże, krewnych, przyjaciół. Poznałam kobietę, którą widziałam leżącą na schodach w hotelu i którą zapamiętałam, ponieważ uniosła głowę i wskazując mi miejsce obok siebie na czerwonym chodniku zażartowała:

— Zawsze to hotel, i to pierwszorzędny, a to — plusz!

Teraz miała szczeni konwulsyjnie zaciśnięte. Kiedy mówiła, zęby ocierały się o siebie, krztusiła oderwane słowa:

— Bomba w hotel... pękł... schody... w powietrzu... krzykli...
Przymknęła oczy i dygotała na całym ciele. Pokazywała drżącymi rękami, jak ją ktoś sprowadził z walących się schodów, nagle uniosła połę płaszczka i wskazując na ciemną plamę szepnęła:

— Mózg...

Zjawili się ludzie, którzy dziwnie mrużyli oczy, kiedy ktoś zapalał zapalniczkę lub kiedy wieczorem na stacji rozblisko światła małej lampy. Zdawali się mieć jakąś niewidzialną ranę w oczach. Opowiadali, że palili się nie tylko domy. Odłamki bomb zapalających uderzały skupioną masę samochodów. Trzymając dłoń na oczach mówili, że wybuchały zbiorniki z benzyną, pękały ściany wozów, samochody palily się, jak sterty słomy, środkami ulic płynęły potoki płomieni, chwytaly się ludzi, którzy wybiegali z walących się domów, dzieci krzyczały brnąc w strumieniu palącej się benzyny. Palily się także składy benzyny.

Wylatywały szyby z okien, ulice zasłane były odłamkami szkła, całe miasto pełne było skrzypu i ludzi, których twarze i ręce zalane były krwią. Krew zalewała oczy i osłepłe gromady ludzkie biegly przed siebie. I dzieci, dzieci... Zdawało się, jakby na nich przede wszystkim skupiło się nieszczęście, dlatego, że były małe, że twarze ich były blisko ziemi. Szklane drzazgi rozrywały skórę, wpadały do oczu.

Miasto leżące z dala od przewidywanego frontu, nie posiadające ważniejszych obiektów wojskowych nie było przygotowane, przekroczyło granicę wojny i pokoju w dziesięciu minutach i zerwało się na nogi w samą sądną chwilę. I w tej chwili — jak wszędzie w Polsce — uniosła je fala bohaterstwa i poświęcenia. Mówiono, że kolumny sanitarne szły ulicami, które jeszcze drżały od huku bomb i walących się domów, syczały od płomieni pożarów. Rannych nosili chłopcy, dziewczęta, starzy Żydzi w chałatach, księża, robotnicy, chłopcy, służące. Drzwi sklepów otwarto szeroko i lady zamieniono na ambulatoryjne stoły. Apteki były jak szpitale, rany opatrywali lekarze, aptekarze i kobiety szybko i milcząco. Ludzie nie jęczeli, dzieci nie płakały. Kiedy podniósł się krzyk, mnich, który wybiegł z kościoła, wołał, że pali się kościół, że trzeba gasić a nie krzyczeć. I zamilkli. Wśród ludzi była cisza, pękały tylko bomby, huczały głosy zniszczenia, rozzdzierane domy wydawały kamienne przedśmierne jęki, syczały z bólu palące się dachy i szalała nad miastem dzika fanfara barbarzyństwa, okrucieństwa i podłości.

Stary Żyd siedział na stacji zaparty przed siebie i jakby nie widzący. Jakiś robotnik kolejowy

kręcił się koło niego, potrząsał jego ramieniem, a potem postawił przed nim szklankę herbaty. Rozglądał się bezradnie i powiedział:

— Nie wiadomo co z nim zrobić, nie chce ani jeść, ani pić.

Żyd potrząsał brodą, chciał coś powiedzieć, ale nie wydobyl z siebie głosu. Robotnik mówił, że go zna, że to krzywiec z Lublina. Że bomba uderzyła w dom, że w domu była żona i dwaj synowie. Wtedy Żyd zaprzeczył:

— Tylko żona była w domu — wykrztusił.

— A gdzie byli synowie?

Pokazał ręką, że wyszli, że byli na ulicy.

— Bo tam były dziury od bomb, to oni zasypywali, żeby można było rannych wozić...

Spojrzal zamyślonym wzrokiem, jakby rozwiązywał trudną zagadkę i powiedział:

— Ten dom, gdzie była moja żona, to się zawałił na moich synów...

Ulica, gdzie były domy z barokowymi kartuszami, która wiodła do kościoła, a potem dalej do komendy zniszczona jest po jednej stronie, właśnie po tej, gdzie o szóstej rano kładł się pas słońca, a woda, którą stróż polewali bruk, parowała szybko. Zniszczone są stare uliczki o fałistej linii biegu, gdzie każdy dom wysuwał kamienną stopę filaru, by

oprzeć się mocno o ziemię i stać mocno przez wieki. Spalone są dachy o wystających okapach, jakby uważnie wpatrzony w dół, nigdy nie oczekujące niebezpieczeństwa od góry. Zniszczone są piękne renesansowe sgraffita. Pękła renesansowa brama miasta. W żydowskiej dzielnicy, gdzie były gotyckie mury, a ciasne podwórza obramione były renesansowymi gankami, gdzie gęsta masa domów poprzerywana jest tylko wąskimi uliczkami — posłowie Hitlera spełnili swe zadanie świadomie i łatwo. Jedna bomba zamieniała w gruz od razu trzy domy, dwa obok siebie i jeden z przeciwka, ludzie skupieni byli gęsto, krew spływała obficie i wsiąkała w ziemię.

Kiedy praliśmy bieliznę pod studnią, przyszedł stary człowiek i zaczął odwijać bandaż, którym przewiązana była ręka.

— Trzeba uprać — powiedział — bo się zabrudził.

Rana nie była groźna i już nie krwawiła. Czekając swej kolejki człowiek stał i podniósł do góry bladą, pooraną twarz, jak prorok, mówił biblijnym patosem, rysował zawile obrazy, w których z góry, z nieba schodził Antychryst, trzymając w rękę nie miecz, ale bomby, z czary lał na ziemię zapaloną benzynę, a duchy piekielne nie grały na trąbach, lecz warczały jak motory.

— Wszystko tak było, jak powie-

dziano — mówił. Był w kaplicy kościoła Karmelitów. Ludzie chronili się do kościoła. Szept modłów urastał do chóru i wołano ku Bogu: — Od pomoru, głodu, ognia i wojny - uchron nas Panie! Od śmierci nagłej - uchron nas Panie! I - bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi! Huknęło raz, drugi.

Człowiek pochylil głowę, jakby ją jeszcze teraz chciał uchronić. Mówi, że z góry leciały kamienie, że kruszyło się sklepienie, że pękały gzymsy i lamały się filary — mówi to głosem nabrzmiałym, wielkim, jakby opisywał malowany obraz, wyciąga ręce unosząc wstęgę bandażu i szepcze:

— Powiedziałem, weź Boże mię starego i uratuj młodych i lepszych ode mnie. Przyjm moją ofiarę. Patrzę w górę — a tu — niebo. Niebieskie. I myślę — umarłem, Bóg dał mi dobrą śmierć... Ale dotykam ręki, ciepła, mokra.

Zwiesza głowę.

— Bóg nie przyjął mojej ofiary.

Pochyla się, pierze bandaż uważnie:

— No bo i co taka ofiara, Pana Boga byle czym nie oszukasz...

Nagle podnosi pięść, po której spływają brunatne krople krwi i błota i woła:

— Antychrysta trza zabić! Jego kości trza rozrzucić po ziemi! I spalić trza piekielne sługi, żeby wiatr popiół roznosił!!

Stefania Zahorska

Odżegnanie się od bluźniercy z Berchtesgaden

Pan Adolf Hitler w swoich ostatnich mowach coraz bardziej w piętkę goni. Uważa się bezczelnie za pupila i pieczętocha Opatrzności, krnąbrnego wychowanka, na którego psie figle trzeba patrzeć przez palce. W razie czego, wierna opiekunka Opatrzność pomoże mu i jego narodowi wykręcić się sianem. Przez ogrom nieskończoności czekała na jego narodziny, by dać folę swemu niezemskiemu pobażaniu.

Już parę razy zdarzyło się zapakowi z Berchtesgaden, napomknąć o swoim podobieństwie do Chrystusa. Pomijając bluźnierstwo tego „kieszonkowego” antychrysta, opętanego przerażeniem przed nadchodzącym jutrem, musimy uśmieć się z rzezimieszka, któremu lotr wiszący pa lewicy Ukrzyżowanego nie podałby ręki, jak usiłuje owiać się mgłą boskości. Przypuszczamy, że nawet Niemcom przyzwyczajonym do „ersatzów” taka przemiana gada w uosobienie nadludzkiej wszechpotęgi stanąć musi w końcu kością w gardle. Można od biedy dokarmiać się sztucznymi jajami zrobionymi z ekskrementów wieloryba, masłem wyprodukowanym ze smoły pogazowej i mąką ze zmielonych trumien, lecz mieć z bóstwo starego pederastę z wąsikami, to jest ponad siły nawet dla niemieckiej trzody.

Nie pisalibyśmy o tym, by nie podbijać bębena nędznej kreaturze czasów wyjąłowych z ludzi na prawdę wielkiego kalibru, gdyby nie to, że zbliża się Wielkanoc. W świetle wszechogarniającej miłości, wyzwalającej w każdym człowieku poczucie najwyższej swobody, godności każdej jednostki, jakże na karakoniego pośmidraga wygląda ten facet, któremu ubrdało się, że wypił „bruderszaft” z Opatrznością. Niknie on w naszych oczach, zapada się w głąb sekretnych ubikacyj piekła, nie tylko jako pseudowielkość, ale także jako groza i szatańskość. Doprawdy musiał świat bardzo się spodlić, skoro tego pokroju indywiduum mogło zrobić karierę. I to nie tylko w Niemczech, w kraju mecha-

nicznych robotów i mózgowego „platfusa”, ale i gdzie indziej, na obszarach zamieszkałych przez wolne ludy.

Wojna rozwiała ten czad truający. Bliski „kuzyn Opatrzności” zdemaskował się i ukazał swoje oblicze. Już nawet nie przerażenie, ale obrzydzenie ogarnęło zachód Europy, powiało przez oceany ku najdalszym zakątkom globu. Wszystko to, co ceniliśmy i kochamy, wszystko to, co stanowi szczęście i radość jednostki, co jest jej prawem i bogactwem zostało szczurzym zębem „fuehrera” podgryzione. Mętny bigosik wiadomości, zachwyconych z różnych pism uczonych i wariatów, miał stanowić nową biblię dla człowieczego plemienia.

Nie ulegajmy złudzeniu. Kościół Katolicki w przeciągu dziewiętnastu wieków borykał się z przeciwnikami dużo większej klasy i powalil ich. Walczyli z nim ludzie o potężnych mózgach, genialne jednostki, zatrute pychą i zbrodnią. Jakże by teraz miał się przerazić osobnika o owadziej duszy, poalanalfabety, torującego swoje krecie drożki wśród próchnicy zmruszonego świata.

Nadchodzą dni Zmartwychwstania Pańskiego. Dźwiga się z ziemi i na niebie zakwita znak wielu najistotniejszych prawd i tej, że dusza ludzka jest boskiego pochodzenia, każda poszczególne, ukryta w nawet najbardziej rubasznej skorupie. Ponad ziemską walką o byt szumią skrzydła Miłości i Miłosierdzia, cichej pogody pojednanego z Bogiem człowieka.

Zapomnijmy o tym stworze z pod znaku swastyki. Nie jestem na tyle świętym, bym mu przebaczył. Mogę o nim nie myśleć, ale przestać go nienawidzić nie jestem w stanie. Wolę zasłużyć na dwa tysiące lat czysca, niż uznać w nim człowieka, odkupionego przez ofiarę Chrystusa.

Nie lekamy się rzeczywistości. Kto wie ile jeszcze wiosen dzieli nas od powrotu do Ojczyzny. Ile ofiar

poniesie świat, by zdeptać tego grzechotnika.

Wiemy jednak, że gdybyśmy wkroczyli w najbardziej ponurą jesienną noc do kraju, będzie ona dla nas wiosną już nie Ofiary, ale Zmartwychwstania. Przyniesimy z sobą te stare prawdy, które na nowo korenienią się w glebie wolnych, prawdziwych narodów, szanujących prawa jednostki, boskie jej pochodzenie i posłannictwo. Zapomnijmy o „totalniakach” odpowiednich dla błonkoskrzydłych, o niewoli ducha, o pokracznym cieniu „wodza”, o mrokach rozpaczny narodu zamkniętego w domu niewoli.

Nie będziemy mieli jednak prawa zapomnieć o nędzy świata, gdy ten obłąkany czarcm pomiotłem gubi szlak wędrówki człowieka do Boga. Będziemy patrzeć na łapy chwalców pały i topora, na oblicza rozzuchwalone bezkarnością i pobażaniem ludzi dobrych i łagodnych, nieświadomych zakusów ciemnych mocy. Nie pozwolimy, by nowe Zmartwychwstanie mogło zostać unicestwione przez bandę ciemniejszą i zbrodniarzy.

Co do mnie muszę się przyznać, że lękam się o moje zbawienie. Nie mogę sobie wyobrazić jak się zachowam, gdy na dolinie Józefata spotkam się nos w nos z Adolfem Hitlerem. Będę błagał Boga, by mnie uczynił jeżem morskim, nawet tasiecem, bym mógł tylko z dala od tego wycirusa przebywać. Może strzelić go w mordę i wyniknie z tego taka chryja, że pójdę do ciupy na wieczność i sześć tygodni. Lecz jeżeli Dobry Pan Bóg ma litosć nad nami Polakami i nie tylko nad nami, ale także nad resztą uczciwego świata, to uczyni cud i uzna jedno swoje stworzenie za niebyłe. Zdmuchnie je i rozwieje w nicość, tak, by nawet tam, bez różnicy, czy w niebie czy w piekle, ta zakala rodu ludzkiego nie maciła wiecznej szczęśliwości i zasłużonej kary. Niech Bóg uczyni to w swoim imperium, tutaj — my się z tym zatławimy.

Marceli Tarnawa

*) Wyjątek z przygotowywanej powieści.

Zycie w podziemiach frontu

(Od polskiego korespondenta wojennego)

(B.D.I.C)

W marcu, na linii.

Wzgórze jest przewiercone tunelem. Wejście przysadziste, forteczne, między dwie fałdy w terenie schowane, stanowi jakby podparcie stromej stoku. Mieści się na poziomie podstawy garbu terenowego. Korytarze i magazyny we wnętrzu bywają na tym samym poziomie, co wejście, a jednak chroni je w każdym punkcie kilkopiętrowa warstwa ziemi, nie licząc betonowego płaszczu, którego odporność na działanie artylerii i lotnictwa jest znana.

Owionął nas od razu świeży, ale sztuczny przewiew, o temperaturze cieplejszej, niż na dworze. Ogarnęła nas inna jeszcze sztuczność: rozproszone blaski elektrycznego światła. Dzień i noc nie posiada tutaj żadnego zastosowania. Program doby układa się bez względu na obyczaj rana, południa czy wieczoru. Ogromna kolorowa tablica z podziałem służb objaśnia nas o tym bardzo dokładnie. Różna jest gęstość tych pasków kolorowych w podziałkach, w zależności od tego, czy się doba dla poszczególnego typu wart dzieli na osiem, czy cztery części, ale zasada jest jedna: bez względu na rodzaj zajęcia, każdy członek załogi ma co trzy doby pełne 24 godziny wypoczynku. Ten sam podział i ta sama zasada obowiązuje zarówno w czasie spokoju na linii, jak w czasie boju. Służba w forcie, ze względu na swoją podziemność, uważana jest za służbę ciężką, ludzie na przykład potrzebują tu więcej snu, niż inni, nie każdy poza tym nerwowo wytrzyma to swego rodzaju odciecenie od świata, jakim w mniejszym lub większym stopniu jest zejście w podziemną twierdzę. W mniejszym lub większym stopniu, bo dowódcy, znając te szczególne okoliczności życia pod ziemią, starają się, aby każdy żołnierz przynajmniej raz na dzień zażył świeżego powietrza pod takim czy innym pretekstem obowiązków poza obrębem fortu.

Szyny kolejki fortecznej towarzyszą naszemu pochodowi w głąb od samego wejścia. Obrazki i zdjęcia tego „metra” linii Maginot, niejednemu zapewne nasuną wyobrażenie o nieprzerwanym nad granicą różańcu fortów, które wszystkie połączone są ze sobą podziemną koleją, tak, że można od Renu aż nad granicę Luksemburga przejechać się bez wysiadania. Otóż nic podobnego. Fortece są różnych kalibrów, różnie porozmieszczane w strefie przygranicznej, wszystkie podziemne, tyle, że wieże strzelnicze doskonale ukryte w czubach wzgórz, mówią wtajemniczonym o ich obecności. W zależności od terenu jedna podziemna twierdza posiadać może kilka podobnych schronów pod samą powierzchnią. Z nich wysunąć się mogą wyloty lub armatnich, albo pod stalową kopułą nakrywy czekają niby podwójne żądła dwie sprężone ze sobą lufy karabinów maszynowych, plus oko armatki przeciwpancernej. Te poszczególne komory strzelnicze i obserwacyjne, wyniesione nad magazyny i koszary, schowane głęboko pod ziemią, są niczym jakieś ogromne i groźne peryskopy, połączone ze sobą u dna systemem tuneli. Tunelami dopływa amunicja, tunelami podróżuje załoga.

Aby dopływać tym i podróżom zapewnić szybkość na odległościach dochodzących nieraz do siedmiu kilometrów w obrębie jednej twierdzy, wyposażono tunele w szyny i pociągi. Zatrzymaliśmy się właśnie przy wagonikach, wyglądają jak te, które znamy z górskich kolejek w Luna Parku. Pociąg z elektrycznym

napędem, niczym tramwaj, prąd bierze z drutu nad nami. Z wyciem, zgrzytaniem i gwizdem ruszamy. Migają monotonne światelka na różnych odległościach, błyskają sygnały, tunel pełen jest huku i hałasu, z naprzeciwną jedzie dwóch żołnierzy na rowerze. Zatrzymują się, zsiadają i pozwalają się minąć pociągowi. Rowery są zastępczym środkiem lokomocji załogi, pociągi bowiem w normalnym życiu fortu odchodzą o wyznaczonych godzinach i kto się spóźni, albo śpieszy do wyjścia, lepiej niech jedzie rowerem. Mijamy stację z szeregiem dodatkowych torów, na których można manewrować, wymijać, z bocznymi, gdzie stoją zapasowe wagoniki. Tunel sam przypomina prawie miniaturowe metro paryskie, coraz to człowiek patrzy po ścianach i czeka aż mu mignie Du Bo, Du Bon, Du Bonnet.

Ale reklama handlowa nie ma dostępu do wnętrza fortu. Za to prywatnej inicjatywie i zamiłowaniom na kwaterach nie stawia się ograniczeń. Toteż forteczne pomieszczenia koszarowe pełne są walizek, torb i rzeczy, które należą do sylwetki francuskiego „Poilu”. Na ścianach trafia się bogata kolekcja zdjęć gwiazd filmowych i wedet z music’ hallów, możliwie w żadnym sensie nie cenzurowanych.

Z oglądania jednych zdjęć przechodzimy tuż obok na inne. Oto panorama krajobrazu widzianego ze stanowiska obserwacyjnego jednej z grup artylerii fortecznej. Naniesiony na nią szkic terenowy z numeracją każdego poszczególnego obiektu, nawet drzew, nawet kęp. Obserwator, mający ten sam szkic przed sobą, może tu na dół do posterunku dowództwa artylerii podać cele z dokładnością na metry kwadratowe. Oglądamy rozłożone na stole atlasy, barwne powiększenia poszczególnych wycinków terenu z naznaczonymi na nich możliwościami pokrycia ogniowego. Każde możliwe zadanie artylerii na tym obszarze opracowane jest już na przód, w postaci gotowych rozkazów ogniowych, które w zależności od zgłoszonej przez obserwatora sytuacji zdecyduje pracujący tu dowódca. Od ukazania się celów na obszarach, objętych tymi mapami, — poprzez przekazanie sytuacji dowództwu, a z dowództwa danych ogniowych na schron z działami — do rozpoczęcia skutecznego ognia, mija dwie, najwyżej trzy minuty.

Na poszczególnych pozycjach zajęli miejsca już nie żołnierze, ale wyspecjalizowani technicy. Opowiadają mi fakt taki: obserwator, znajdujący się blisko granicy wykrył gniazdo nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego. Odległość od najbliższej pancernej wieży dział fortecznych wynosiła 9.000 metrów. Oddano 12 strzałów i karabin nieprzyjacielski przestał istnieć. Na 5.000 metrów artyleria 25 pociskami zniszczyła 4 tanki nieprzyjacielskie, a piątą zawrócił sam. Objasnając ci specjalści, na czym polega nowa rola artylerii na linii Maginot. Że mianowicie przewidziano dla niej poza wszystkimi innymi zadaniami także obowiązek wzięcia nieprzyjaciela w ogień boczny, flakujący. Z tym też wyrachowaniem taktycznym dobierano stanowiska dział. Gdyby więc nawet nieprzyjaciel przeszedł w którymś miejscu ruchomą zaporą ogniową, tę kurtynę morderczej stali, która współdziałaniem wszystkich źródeł ognia przygotowana jest na jego przyjęcie, powodzenie jego zostanie natychmiast zlokalizowane

nie tylko bocznymi ogniami broni automatycznej, ale także stanowisk artyleryjskich, biorących go „we dwa kije”. W tych warunkach nie ostoja się żaden szturm.

Każda twierdza na wypadek boju przygotowana jest na zupełną samodzielność. Powiadają: jak krążownik na morzu. Elektryczności dostarczą własne dynamomaszyny, zapasy amunicji i żywności przygotowane są z wyrachowaniem na ewentualność odcięcia fortecznych podziemi od reszty świata przez okres całych miesięcy. Lekarze posiadają zapas pigułek przeciwskorbutowych. Tymczasem oczywiście wobec niedojścia wojny aż na pasmo tej linii, zapasów nikt nie rusza. Tylko porządek doby i służb jest taki sam, jak będzie w czasie akcji. Trzy posiłki: o jedenastej, o czternastej i dwudziestej drugiej. Pamiętamy przecież, że podział na dzień i noc

nie istnieje tu, w warownym wnętrzu ziemi.

Dowódca nazywa jadalnię forteczna — „lokałem odprężenia”. Wesoło tu i już nie gwarno wcale, ale wręcz wrzaskliwie. Biesiadnicy jeszcząc przed pierwszym daniem śpiewają chórem piosenki, których takt wybija się nożami na stole. Jakby nie dość było tego akompaniamentu, w ruch idą szklanki. Rozmowie trudno się rozwinąć w takich warunkach. Ale w czasie wielkiej, kończącej jedzenie ofensywy na skórki od pomarańczy, chwytam półuchem fragment toczącej się przy stole próby wywołania dyskusji. To pytanie mianowicie, które ludzom z pewną wyobraźnią dałoby ciekawy punkt wyjścia do studium historycznego:

Coby powiedział Napoleon, gdyby mu teraz nagle pokazać linię Maginot?

Aleksander Janta

Tydzień na morzu

Ostatnie tygodnie walki na morzu charakteryzują się ciekawą zmianą taktyki w wojnie pirackiej, przeprowadzanej przez Rzeszę z całą bezwzględnością. Obok łodzi i okrętów podwodnych, obok min zwykłych i magnetycznych użyto do zwalczania statków handlowych, statków - latań, patrolowców, a nawet kutrów rybackich — lotnictwa bombardującego i myśliwskiego. Bezbronni i do czasu bezradne parowce, cysterny, kutry i szalupy stawały się łatwą ofiarą bomb lotniczych, załogi zaś narażone były na ogień karabinów maszynowych.

Akcja ta przyniosła Niemcom minimalne rezultaty i nie zdołała ani na chwilę zahamować ruchu konwojów czy nawet pojedynczych statków sprzymierzonych. Nie pomogły drakońskie sposoby używane w tej walce, ostrzeliwanie tonących i ratujących się w szalupach, bombardowanie statków pasażerskich pełnych kobiet i dzieci, palenie kutrów rybackich. W stosunku do strat rezultat był proporcjonalnie żaden. Zginęło bowiem według danych podawanych przez prasę, na skutek akcji powietrznej 7 kutrów, 2 statki pasażerskie, 2 statki cysterny i 4 statki towarowe. Inne statki na skutek drobniejszych uszkodzeń schroniły się do portów. Tymczasem lotnictwo niemieckie w tej akcji straciło 5 wielkich bombowców, których strącenie zostało urzędowo stwierdzone, a w rzeczywistości znacznie więcej, jeśli się weźmie pod uwagę, że wiele samolotów zostało poważnie uszkodzonych i na pewno nie zdołało powrócić do swych baz.

Fakty te dowiodły raz jeszcze, że we współczesnej wojnie morskiej przeciwników tak potężnych, jak połączone floty sprzymierzonych tylko na chwilę może wykończyć broń tak doskonała, jak... zaskoczenie. Przy środkach, którymi sprzymierzeni dysponują nie ma takiego „wyznalezku”, na który natychmiast nie znalazłaby się taka czy inna odpowiedź, na który nie można by przygotować środka unieszkodliwiającego.

Tak przeciw łodziom podwodnym używa się nie tylko granatów głębinowych i sieci — lecz udaremnia się ich pracę piracką przez organizowanie karawan statków handlowych konwojowanych przez okręty wojenne. Dotychczas w obecnej wojnie ani jeden statek nie zginął od torpedy w konwoju. Tak przeciw minom magnetycznym wynale-

ziono sposoby skuteczne, że początkowo dość poważne straty koalicentów ostatnio zostały zmniejszone do minimum, tak wreszcie przeciw piratom wodno - powietrznym organizowane jest powszechne uzbrojenie statków handlowych w broń przeciwlotniczą oraz wysyłane są patrole samolotów myśliwskich ponad szlaki zagrożeń.

Akcja floty wojennej sprzymierzonych w ostatnich tygodniach nie polegała jednak tylko na obronie biernej i obronie statków handlowych. Flota brytyjska zajęła posterunek na Oceanie Lodowatym u wrót do Murmańska i Petsamo, zatopiono kilkanaście łodzi podwodnych niemieckich (ilość okrętów podwodnych niemieckich pogrążonych na zawsze w Oceanie sięga cyfry 54), oraz zatrzymano, względnie sprowokowano do samobójstwa kilkanaście statków handlowych niemieckich. Również przeprowadza się jak najściślejszą kontrolę statków neutralnych dzięki rewizjom i obserwacji, a blokada Niemiec od strony morza jest absolutną rzeczywistością, o czym dokładnie przekonalni się między innymi i Włosi, których węgiel sprowadzany z Niemiec drogą morską nie dostał do Italii. 19 statków włoskich wiozących węgiel zostało już zatrzymanych przez nieustraszone patrole brytyjskie.

Jak widzimy bezwzględne władanie morzami świata ani na chwilę nie wymknęło się z rąk sprzymierzonych. Blokada morska Rzeszy przeprowadzana jest z pełnym powodzeniem, a wszelkie środki zwalczania jej użyte przez Niemców okazały się bezskuteczne. Również bezskuteczne jak rewanżowa blokada Anglii i Francji, którą usiłują przeprowadzić Niemcy w powietrzu, na morzu i pod wodą. Handel morski i transport morski sprzymierzonych nie ustał ani na chwilę, a w jak swobodny sposób mogą ich statki poruszać się po oceanach świadczą ostatnie fakty pomyślnych transportów wojsk nowozelandzkich i australijskich do Egiptu, wojsk kanadyjskich do Anglii i wspaniała do New Yorku nowego 80.000 tonowego olbrzyma angielskiego „Queen Elizabeth”.

„Polska Walcząca” przynosić będzie w każdym numerze syntetyczny przegląd tego, co się dzieje na morzu w ciągu tygodnia, starając się dawać oświetlenie najciekawszych i najbardziej charakterystycznych faktów.

Bohdan Pawłowicz

Redakcja „Polski Walczącej” prosi o nadsyłanie materiałów literackich, rysunkowych i fotograficznych.



SZKOŁA PODCHORAŻYCH PIECHOTY

Od połowy września 1939 r. pierwszy polski obóz wojskowy, tętni życiem. W warunkach nad wyraz złych, odbywają się ćwiczenia najnowsza bronią. Początkowo przeważają oficerowie rezerwy-emigranci, później zawodowi. Szeregowi od samego początku przeważają na korzyść — emigrantów.

Z cenzusowców wybranych w pierwszym obozie (sami ochotnicy), tworzy się obóz drugi — to „podchorążówka” — przyszli polscy oficerowie. Przeważają znów emigranci, chociaż nie brakuje ludzi zdolnych i wartościowych z Kraju. Przez pięć miesięcy, od rana do wieczora, często w nocy, ćwiczą, uczą się, hartują.

W sobotę 9 marca 1940 r. odbyło się uroczyste zakończenie „Pierwszej Szkoły Podchorążych Piechoty” Armii Polskiej we Francji.

W miejscowym kościele uroczysta msza z pięknym kazaniem i błogostawieństwem, potem — przysięga. Pierwsza Przysięga pierwszych polskich podchorążych nowej polskiej Armii — na wierną służbę Polsce i ostateczną walkę z okupantami. Cudowny i wzruszający był widok, gdy kapelan wojskowy wznosił wysoko w górę krzyż, a kilkuset podchorążych, jedną ręką trzymając karabin a drugiej, dwa palce wysoko podniesione — chórem powtarzało słowa przysięgi:

„...dla Ciebie Polsko, dla Ciebie Narodzie, do ostatniej kropli krwi, wierności dochowam, placu nieprzyjacielowi dotrzymam, — tak mi Panie Boże dopomóż!...”

Stałem opodal zasłuchany. Na myśl przyszła mi okupowana Polska: miliony polskich obywateli — inteligencji, włościan i robotników cierpiących pod barbarzyńską okupacją, ciemniona ludność cywilna, żołnierze w więzieniach i obozach, — wszyscy oni wołają pomocy, wszyscy oni radośnie witają każdy wysiłek zdążający do stworzenia siły, mogącej wywalczyć Niepodległość. W sile Armii widzą odradzającą się wolną Polskę!

Podchorążowie wszystkich wyznań składają — przysięgę. Dowódca wywołuje prymusa. Widziałem zakłopotanie — toć tak wielu, bardzo wielu, na to wyróżnienie zasłużyło — lecz może być tylko jeden.

Pręzą się szeregi: ostatni apel i życzenia dowódców, ostatnie w podchorążówce nominacje, defilada, i okrzyki na cześć cierpiących w niewoli, na cześć walczących z okupantami, na cześć idących walczyć za „naszą i waszą wolność” — i serdeczne, szczerze pozdrowienie Wodza Naczelnego.

Patrząc na to nasze polskie, odradzające się wojsko, gdzieś z oddali dostrzegłem tak bliską i znaną mi z dawnych bojów — twarz Wodza Naczelnego, generała Sikorskiego.

liczącego każdy, nawet drobny wysiłek Narodu, — ku odrodzeniu. A trudności, pokonane przez oficerów i podchorążych, ich obecną przydatność wojskową, niewątpliwie będzie liczył, jako wielką pozycję o specjalnie cennej wartości.

Maszerują. Idą długą kolumną, kompaniami. Młodzi pospół ze starszymi, ramie przy ramieniu — równo. W oczach radość i chęć walki.

Poznają znajomych: to nasi emigranci. Wielu z nich zapisywałem jako ochotników w pamiętne dni września. Pamiętam, jak porzucili pracę, zajęcia dobrze opłacane, jak niepomni na pozostałą rodzinę, śpieszyli, byle tylko zdążyć Polsce z pomocą.

Dziś, po ukończeniu podchorążówki — maszerują. Po defiladzie przychodzą, by jak dawniej, serdecznie się przywitać i wzięły braterskie zacieśnić.

Wieczorem tegoż dnia odbyła się wspólna pożegnalna kolacja. Piękna duża sala — ledwie pomieściła wszystkich. Przemówienia, życzenia, śpiewy, żarty i — obfite zakąski. Atmosfera nad wyraz miła, iście rycerska.

Ponad wszystkim góruje stara bojowa pieśń podchorążych: „Warszawianka”.

W obozach powstaje, tworzy się Armia Polska. Tam rodzi się wola zbrojnej walki, wola pokonania nieprzyjaciół, wola przyniesienia wolności uciemiężonym w niewoli — braciom.

„Hej! kto Polak na bagnety, żyj swobodo, Polsko, żyj!...”

Panie Generale i Wodzu Naczelnym! Melduję, pozwól, głośno myślę; pragnę zostawić „papierki” — pójdę do szeregów, na dołą i niedołą, na radości i trudy, może po nową, już piątą gwiazdkę „za rany” a już szczęśliwy będę, jeśli obecność moja w szeregach, choć w części przyczyni się do zwycięstwa. Z nowymi podchorążymi pójdę — nowym, kochanym podchorążym — Cześć!

Jerzy Wojnar

Wiosna wśród baraków

Już wiosna przyszła. Czuć ją wszędzie. Na ulicach, w lesie, w polu. Słońce podłużnymi smugami promieni gładzi drzewa i zagląda do okien koszarowych. Słowiki zaczyna śpiewać wieczorem... I rośnie w sercu, rozpiera się w piersiach jakaś radosna nadzieja, czegoś, co idzie, co przyjdzie musi, na co czeka miliony ludzi.

Zarumieniały się od słońca zaharowane twarze naszych żołnierzy. Idą ulicami obozu i śpiewają piosenki wyrwane z piersi, a echo unosi je daleko:

„Na francuskiej wolnej ziemi
wojsko polskie mamy,
i przez Berlin do Warszawy
wkrótce wyruszamy”.

„Marsz, marsz, Polonia,
marsz dzielny narodzie,
odpocniemy po swej pracy
w ojczyźnie zagrodzie”.

Równym wymierzonym krokiem wybijają nieugięty rytm bojowej piosenki. Migocą w słońcu karabiny. Prężą się postacie.

Otrząsnęły się żołnierskie serca z zimowego przygnębienia. Wiosna zajrzała im do duszy głęboko. Przywróciła im wiarę we własne siły. Nawet nie spostrzegali się, jak stali się pełnowartościowymi żołnierzami. W ciągu paru miesięcy zmienili się z cywilów w stu-procentowych żołnierzy. Kiedy idą, śmiałość wygląda im z twarzy, a z oczu bije otucha. „Jeszcze Polska nie zginęła i nigdy nie zginie”...

Na rozległych polach ćwiczeń ruch nieopisany. Posuwają się, niby ogromne potwory, ciężkie czołgi — i warczą niemiłosiernie. Za czołgami suną długimi rzędami strzelcy. Nad głowami, pod jasnym niebem, unoszą się samoloty. A stukot karabinów maszynowych nie milknie ani na chwilę.

Tam na wzgórzu, artyleria odbywa swoje ćwiczenia; tu, pod lasem, koło strzelnicy, piechota pokazuje swoje sztuki i przy pomocy C. K. M-ów ćwiczy „obronę” i przeprowadza „natarcie”. Po pustych drogach posuwają się wozy „taborytów” i ćwiczących pancerników. Nieprzerwany łoskot, niby pieśń wyzwolonej wiosny, ożywia cały ten teren w dzień i w nocy. Bo i do nocnej trzeba przygotować się walki i umieć prowadzić ją zwycięsko.

Od dalekich budynków płyną melodie nadawane z „wozu radio-

wego”. Skoczny rytm polki, miesza się z „brunetkami i blondynkami” — Kiepury. W tych odrapanych wozach cząstka beztrudnej wolności tu zawitała. Cieszą się nasi żołnierze z tych melodii i dyskutują zawzięcie:

— Fajnie śpiwo. Mo tyż tyn piernik elegancki głos — mówi jeden.

— O, jo ta wole słuchać oberka — mówi drugi — przynajmniej się człowiekowi hulać chce.

— Patrzenie, on chce hulać, kiedy wczoraj 50 kilometrów marszu podróznego zrobił.

— I byś widziol, jakbym wiwiol. Jeszczeby niejednej dziewusze w głowie sie zawróciło.

— Antek! przebrzydły karlusie, nie słyszysz, że gwizdek na zbiórkę.

— Bogać tam zapomniolym, tako ta muzyczka fajno, jak u nos, w Polsce.

— Jak pójdziesz do Polski, to sobie kupisz gramofon i będziesz groł.

— I jeszcze jak.

Słońce przygrzewa coraz goręcej. Lekki wiatr południowy gładzi pieczętliwie drzewa. Żołnierze chodzą ulicami i z twarzą rozpromienioną mówią:

— Wiosna przyszła.

Wiosna, taka sama, jak u nas. Rozkwitających pąków zapachem przepelniona, uwieńczona skowronczym świegotem, jasna, krasna, malowana. Ale jakże obca, jakże niepojęcie daleka, jakże tragicznie bolesna. Jada chopcy na rowerach i rozprzedają dzienniki. Na pierwszych stronach francuskich i polskich pism, niby pieśnią bólu i żałoby, wołają tytuły:

„Przerażające wieści z Polski — wołające o pomstę do Boga”.

„Masakra patriotów polskich w Wawrze”.

„Rozstrzelanie 72 Polaków w Bochni”.

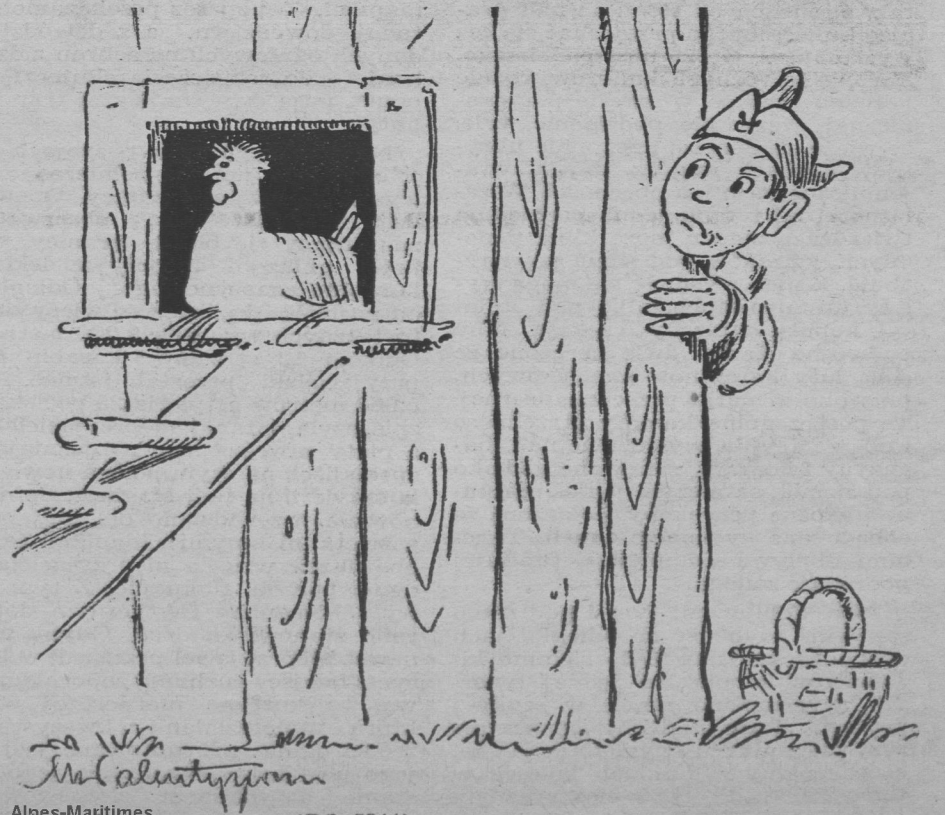
„La Pologne qui souffre”.

„Pologne malheureuse”.

Żołnierze kupują pisma. Czytają. A w miarę czytania zanika z twarzy uśmiech, tężeją lica, w oczach błyskają ognie przytłumionego gniewu.

— Zapłacimy im za to. Zapłacimy stokrotnie — mówią do siebie. — Już wiosna nadchodzi.

A wiosna bretońska idzie zwolna przez lasy i pola i niesie naszej umęczonej Ojczyźnie wiew: Wytrwajcie! Julian Majcherczyk





Uczymy się strzelać

Fotografował
Tadeusz Wysocki



Przed stanowiskiem (B.I. 5245)



Oko na muszce (B.I. 5248)



Strzelanie do celu (B.I. 5246)



Rząd celów (B.I. 5247)



Przy ognisku w czasie strzelania (B.I. 5249)



Przegląd broni po strzelaniu (B.I. 5250)

Związek Kupców i Rzemieślników na F.O.N.

Dowiadujemy się, iż Rada Naczelna Związku Kupców i Rzemieślników Polskich powzięła uchwałę, na mocy której wszyscy członkowie organizacji są zobowiązani do płacenia miesięcznej daniny na F. O. N.

Obowiązujący podatek na F. O. N. obliczać się będzie w wysokości 1 proc. od ogólnej sumy miesięcznego obrotu przedsiębiorstwa.

Obowiązek płacenia podatku narodowego dotyczy wszystkich kupców i rzemieślników polskich w okresie trwania wojny.

Deklaracje w sprawie dobrowolnego opodatkowania się na F. O. N. należy przysyłać na adres: **Zarząd Główny Związku Kupców i Rzemieślników Polskich, — 24, rue de la Gare, 24 — Lens (P. de C.).**

Po otrzymaniu deklaracji zainte-

resowani kupcy i rzemieślnicy otrzymają specjalne dokumenty stwierdzające fakt dobrowolnego opodatkowania się na F. O. N.

Dokumenty te należy umieszczać w oknach wystawowych przedsiębiorstw handlowych i rzemieślniczych.

Podkreślając doniosłość uchwały Związku Kupców i Rzemieślników, która po wprowadzeniu w życie przyczyni się niewątpliwie do pomnożenia funduszy na rzecz Armii Polskiej we Francji wzywamy wszystkich naszych Czytelników i Przyjaciół do poparcia tych zakładów przemysłowo-handlowych, w których oknach wystawowych znajdować się będą dyplomy stwierdzające fakt, iż ich właściciele opłacają miesięczny podatek narodowy na cele Armii Polskiej we Francji.

Od Administracji

Komunikujemy, iż z dniem 1 kwietnia będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę „Polski Walczącej” tym wszystkim prenumeratorom, którzy w terminie określonym nie uregulowali należności za prenumeratę. Prenumeratę można wpłacać za pośrednictwem wszystkich urzędów pocztowych we Francji umieszczając na zwykłym przekazie pieniężnym następujący adres: **C/C Nr. 1401-65 Bank Polska Kasa Opieki 23, rue Taitbout — Parys (9-e)**

Na odwrocie przekazu pieniężnego prosimy zaznaczyć: „POLSKA WALCZĄCA”, w razie potrzeby dać wyjaśnienie szczegółowe.

PUNKTY SPRZEDAŻY „POLSKI WALCZĄCEJ”
Lokale wszystkich Miejscowych Komitetów Obywatelskich we Francji.

Świetlice wszystkich obozów wojsk polskich.

Paryż: Kiosk w Hotelu „Regina” 2, place des Pyramides i Księgarnia Polska, 123, boul. St. Germain.

Lens: Biuro tłumaczeń p. Grali i Hotel Polski p. Pietrusiaka.

Cena 1 egz. „Polski Walczącej” w świetlicach żołnierskich wynosi 0,25 fr., a w pozostałych punktach sprzedaży — 1 fr.

Dochód z rozprzedaży pisma w świetlicach obozowych jest przeznaczony na cele kulturalno-oświatowe oddziałów.

POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ

W okupacji niemieckiej niustaje ucisk i wysiedlanie Polaków z ich siedzib. Coraz większe grupy wysiedlonych osiadają na terenie gubernatorstwa, w którym zwłaszcza w Warszawie i miastach panuje przełudnienie.

Srodki żywności są coraz droższe a nędza, w związku z małymi zarobkami coraz większa. Ceny od lutego znowu poszły w górę, masło dochodzi do 16 zł., chleb, zależnie od gatunku od 1,20 — 2 zł. Są wprawdzie kartki, za którymi otrzymuje się żywność taniej, po cenach przedwojennych, ale wydawanie tej żywności nie jest regularne. Para dobrych butów kosztuje 180 zł. — ubranie 500 zł. Ceny w zestawieniu z zarobkami robotniczymi (około 5 — 7 zł. dziennie) i inteligentkami (od 150 do 250 zł. miesięcznie) dają obraz ogólnej biedy — nie mówiąc już o tym, iż ogromna większość ludności stałych zarobków nie ma i żyje bądź z wyprzedawania resztek, bądź z drobnego handlu, którego chwytają się wszyscy. Zarobki w Polsce Zachodniej są jeszcze mniejsze, zachowana jest tu skala przedwojenna, a zatem nędza tu jest jeszcze dotkliwsza, tym więcej, że wielu produktów w handlu dla Polaków nie ma.

Niemcy ponowili gorączkowe poszukiwania osób, które zgodziłyby się podjąć rządów, oczywiście pod całkowitą kontrolą niemiecką, w t. zw. gubernatorstwie. Cały szereg osób z polskich sfer zachowawczych jak m.in. b. regent ks. Lubomirski kategorycznie Niemcom współpracy odmówili, mimo że słusznie muszą się obawiać losu, jaki spotkał ś. p. profesora Estreichera.

Sprawy polskie były niewątpliwie przedmiotem rozmowy Ojca Świętego z Ribbentropem. W kołach watykańskich utrzymuje się wersja, że Papież po to tylko przyjął Ribbentropa, aby mu wyraził osobiście swój pogląd na okrucieństwa Niemców wobec katolików i osób innych wyznań w Polsce. Postawienie sprawy przez Papieża było podobno tego rodzaju, iż Minister Spraw Zagranicznych Rzeszy z wrażenia zasłabł i musiał dłuższy czas odpocząć przed audiencją u Kardynała Sekretarza Stanu. Niewątpliwie też sprawy męczeństwa Polski były przedmiotem wymiany myśli pomiędzy Sumner Wellesem, delegatem Prezydenta Stanów Zjednoczonych a premierem gen. Sikorskim i ministrem Zaleskim podczas bytności jego u polskich mężów Stanu.

Najbardziej istotną wiadomością z ubiegłego tygodnia, która niewątpliwie wywarła duże znaczenie w Polsce, jest fakt przelotu angielskich samolotów wojskowych nad Poznaniem. Samoloty zrzuciły odezwę w języku polskim. Lot ten powinien był dodać otuchy nieszczęśliwym naszym braciom, cierpiącym w okrutnej niewoli i oczekującym wybawienia.

Wiadomości szczegółowe są dość szczupłe. W Warszawie oblicza się, iż do dn. 2. III. ogółem wywieziono na roboty przymusowe do Rzeszy 133 pociągi z terenu gubernatorstwa. Nakazano stawienie się wszystkim dorożkarzom stolicy ze swymi końmi przed władzami niemieckimi. Większość koni skonfiskowano. Według obliczeń niemieckich z Krakowa w Warszawie jest obecnie 500 tys. osób bez dachu nad głową.

Z POLSKI

W Polsce Zachodniej wydano zakaz zawierania małżeństw pomiędzy Polakami. Gabinet Rzeszy upoważnił ministra Rolnictwa do otwierania w Poznańskim i na Pomorzu kas kredytowych dla rolnictwa (oczywiście niemieckiego). Zdarzają się wypadki wysyłania (z Inowrocławia) transportów dzieci od 6 — 16 lat rzekomo na wypoczynek do Niemiec. Wyraża się obawy, że chodzi tu o germanizację dzieci. Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu przerobili Niemcy na muzeum mające wykazać „odwieczną” niemieckość Poznańskiego.

Z terenu gubernatorstwa donoszą, że Niemcy podkreślają „zasługi” dla kultury i cywilizacji osławionej sekty mariawitów. Zapowiadają poparcie tej sekty przez władze okupacyjne. Gubernator radomski wygłosił przemówienie, w którym podaje zarys organizacji administracji w t. zw. „gubernatorstwie”. Mówił on, iż rzekomo wielu dawnych urzędników polskich zatrudnia się na poczcie, w kolejnictwie i w policji.

POD OKUPACJĄ SOWIECKĄ

Scharakteryzowane w numerze poprzednim położenie nie uległo zmianom. Przygotowania do wyborów w pełni. „Walka wyboreza” oczywiście nie ma miejsca, bo wybory odbędą się tylko na jedną listę i „na rozkaz”.

Całe społeczeństwo Polski wschodniej i południowo-wschodniej odnosi się najzupełniej negatywnie do komunizmu i bolszewików. Wyjątek stanowi pewna liczba mętów społecznych, które zostały wyciągnięte na czołowe stanowiska w Sowietach wioskowych i małomiasteczkowych,

oraz pewna liczba najbiedniejszego proletariatu żydowskiego. Ukraińcy, zarówno chłopci, jak robotnicy i inteligencja, są w ostrej opozycji przeciw bolszewikom i nawet w niektórych miejscowościach, organizują przeciw nim opór zbrojny. Sympatie pomiędzy Polakami a Ukraińcami wzrastają, daje się odczuwać wzajemne zapomnienie uraz i powstawanie warunków do trwałego porozumienia. Białorusini, którzy w początku okupacji, stosunkowo najpozytywniej odnieśli się do rządów sowieckich, rozczarowali się całkowicie i obecnie głośno wypowiadają żal za utraconymi warunkami życia w Polsce przedwojennej. Nawet dawni członkowie partii komunistycznej w Polsce, którzy z natury rzeczy idealizowali sobie Sowiety, dziś znajdują się w zaciętej opozycji i często, osmieliwszy się na głośniejszą krytykę, zostają przez G.P.U. zsyłani w głąb Rosji.

Przedstawiciele władz sowieckich zupełnie nie kryją się z tym, iż istotnym ich celem w Polsce jest całkowite sproletaryzowanie ludności, sprowadzenie jej do poziomu takiego jak ludności rosyjskiej, a co za tym idzie odebranie sił do jakiegokolwiek krytyki czy oporu.

Jeńcy polscy stwierdzają, że położenie materialne ludności bolszewickiej jest jeszcze stokroć gorsze, niż obecne położenie ludności w okupowanej Polsce. Brud, brak odzieży i ciemnota są tam takie, iż człowiek z zachodu Europy wyobrazić sobie tego nie może. Przytem stosunki te ludzie uważają za najzupełniej normalne i nie chcą wierzyć, że gdzie indziej może być lepiej. Uważają, że na Zachodzie je-

dynie „burzuje” mają te rzeczy, które tu są traktowane jako zupełnie niezbędne do życia, a proletariusz także w nędzy i brudzie jeszcze stokroć straszniejszym, niż w Rosji. Młodzież wierzy tam święcie we wszystko, co „partia” do wierzenia podaje, a starsi niemal już zapomnieli, że mogło być kiedyś inaczej.

Dużym wstrząsem dla bolszewików były stosunki, jakie zobaczyli w Polsce, w Łotwie, Estonii i na Litwie. To też wojska, które były wysłane do tych krajów zachowały się poważnie w swych komunistycznych poglądach. Nawet tak skądinąd skromne stosunki gospodarcze jakie panowały w Polsce wschodniej, wydały się wojskowym sowieckim „krajiną z bajki” — a wszyscy nasi proletariusze „panami” i „burżujami”. Ten promyk światła niewątpliwie będzie miał znaczenie i mimo prymitywności i ciężkości umysłu rosyjskiego, będzie początkiem groźnej dla bolszewizmu ewolucji pojęć w armii czerwonej.

Wiadomości z Polski zajętej przez bolszewików, jakie nadeszły do Paryża w ciągu ostatnich dni również nie są obfite. Ze Lwowa nadeszła wiadomość, że władze sowieckie rozpoczęły wydawanie paszportów, które podobno ludność przyjmuje „z dużym zadowoleniem”.

Według źródeł francuskich, liczba polskich wywiezionych na Syberię księży wynosi ponad 3.600. Wywożeni są również „bezrobotni”, w tej liczbie oczywiście dużo inteligencji.

Na Wołyniu we wsi Pieczalówka założono pierwszy kolchoz, do którego włączono 50 gospodarstw chłopskich z 700 ha gruntu.

Wojsko sowieckie, przy współudziale Niemców pracuje intensywnie nad rozszerzeniem i pogłębieniem kanału łączącego Dniepr z Wisłą (przez Bug). Kanał ten ma służyć przewozowi ropy z Baku do Niemiec. *Jerzy Pomian*

SPIS TRESCI NUMERU

Błogosławieństwo X. biskupa polowego Józefa Gawliny. — Tymon Terlecki: Nie ma śmierci w prawdzie. — Jan Lechoń: Wielkanoc. — Maria Kuncewiczowa: Zmartwychwstanie. — Zyczenia od Redakcji. — Krystyna Koczyńska: Chrystus frasośliwy (z dwoma rysunkami). — Tadeusz Kiełpiński: Walka idei. — Zyczenia od francuskiego przyjaciela. — Karol Brzozowski: Na przesilenie wiosenne. — Janusz Sopoćko: Prawda o męstwie polskim. — Księga bohaterstwa polskiego. — Antoni Słonimski: Wielkanoc. — Jerzy Pomian: Czasowa siedziba Rządu Rzeczypospolitej Polskiej (sześć rysunków Tadeusza Lipskiego). — xxx: Sześć miesięcy wojny dyplomatycznej. — Aleksander Rawski: Skutki wojny fińsko-sowieckiej — na dalszą metę. — Speaker londyński pisze. — Tola Korian: Spiewam dla żołnierzy. — Antoni Bogusławski (słowa), Andrzej Lorent (muzyka): Iwonka (Piosenka chóralna). — Józef Wittlin: Co zawierał pewien tornister w roku 1917. — Andrzej Rubinrot: Na urlopie świątecznym (trzy rysunki). — L. K.: Odpowiedzi. — Wychodźstwo na Obronę Narodową. — Czesław Głowczyński: „I znowu będzie to samo niebo”. — Mieczysław Lisiewicz: W kościele. — Listy żołnierzy do dzieci. — Stefania Zahorska: Za Lublinem. — Marcelli Tarnawa: Odżeganie się od bluźniercy z Berchtesgaden. — Aleksander Janta: Życie w podziemiach frontu (Od polskiego korespondenta wojennego). — Bohdan Pawłowicz: Tydzień na morzu. — Uczymy się strzelać (sześć fotografii Tadeusza Wysockiego). — Kupcy i Rzemieślnicy polscy na FON. — Od Administracji. — Jerzy Wojnar: Szkoła Podchorążych piechoty. — Julian Majcherczyk: Wiosna wśród baraków. — Oczekiwanie na święcone (dwa rysunki Mariana Walentyńcowa). — Jerzy Pomian: Z Polski. — Ozdobniki Tadeusza Lipskiego. **Niniejszy numer „Polski Walczącej” jest podwójnie objęty. Następny numer ukazuje się dnia 7-go kwietnia.**

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS

123, Boulevard Saint-Germain, PARIS VI-e

Métro: ODEON

Tel.: DANTON 04-42.

Odpowiada na każde pytanie odwrotną pocztą.

Zamówione książki ze wszystkich dziedzin dostarcza natychmiast.

Na żądanie katalogi polskie i francuskie bez płatnie ze wszystkich dziedzin i specjalności.

BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

Oddział w Paryżu

23, rue Taitbout, PARIS 9-e — Métro: Opéra i Chaussée d'Antin.

ŻOŁNIERZU!

Gdy chcesz zabezpieczyć swoje pieniądze, by po zwolnieniu z wojska mieć za co urządzić sobie życie, złóż gotówkę w Banku P. K. O. na własne imię —

Gdy chcesz zabezpieczyć swoją rodzinę, złóż pieniądze na imię żony, matki lub ojca.

BANK P. K. O.

przyjmuje: Wkłady na każde żądanie i za wypowiedzeniem
Walory na przechowanie

wynajmuje: Skrytki

Pieniądze można wpłacać i podejmować w drodze korespondencji.
Wpłaty we wszystkich urzędach pocztowych MANDAT-CARTE
na konto chèque-postal: PARIS 1401-65

Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

WARUNKI PRENUMERATY: Francja: cena numeru 1.— fr.; kwartalnie 10.— frs.; półrocznie 18.— frs.; rocznie 35.— frs. — Kraje europejskie: cena numeru 1.50 frs. franc.; kwartalnie 15.— frs. franc.; półrocznie 28.— frs. franc.; rocznie 55.— frs. francuskich. — Ameryka: cena numeru 5 centów; kwartalnie 50 centów; półrocznie 1 dolar; rocznie 2 dolary

Koszty prac drukarskich tygodnika pokrywane są w czwartej części przez Zakłady Drukarskie „Narodowca” — tytułem dobrowolnego podatku na rzecz Wojska Polskiego

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OSWIATY MIN. SPRAW WOJSKOWYCH I CENTRALNY KOMITET OBYWATELSKI WE FRANCJI

Adres Wydawnictwa i Administracji: 20, rue Faidherbe LILLE (Nord)
Adres Redakcji: Hotel „Regina”, 2, place des Pyramides, Paris I., pokój 247.
W sprawach redakcyjnych przyjmuje się w czwartki, piątki i soboty od godz. 10—12-ej.
Le gérant: Antoni Koziański, Lille.

Imp. Druk. M. Kwiatkowski — „Narodowiec”, Lens (P. de C.) — R. C. Béthune 21.231